

W numerze: JAN KOPROWSKI W Pradze i Bratysławie • WIESŁAW JAZDZYŃSKI Kłopoty, ale i nadzieje • Przed pierwszym dzwonkiem • JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI Piotrków i kultura • RYSZARD BINKOWSKI Cygańskie noce • Nowela kryminalna

odgłosy



28. VI. 1970 r.

26 (658)

Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII



Przed pierwszym dzwonkiem

Z kuratorem
Okręgu Szkolnego m. Łodzi
mgr Henrykiem Grendą
rozmawia
Włodzimierz Stokowski

— Kilka dni temu zakończył się rok szkolny. Na ocenę pracy pedagogów i wyników w nauce uczniów jest jeszcze za wcześnie. Ale za dwa miesiące w ławkach szkolnych znów zasiądzie młodzież. Panie Kuratorze, czy w roku szkolnym 1970/71 wprowadzi Kuratorium jakieś zmiany w dotychczasowym systemie nauczania?

— Tak. Wprowadzimy sporo nowych elementów w zakresie dydaktyki, które mają na celu dalsze podniesienie poziomu nauczania w szkołach. Obecnie przeżywamy głęboki niż demograficzny. W związku z tym liczba dzieci we wszystkich rodzajach szkół już dziś zmniejszyła się wydatnie i będzie się zmniejszać nadal. Podam dla przykładu, iż w roku 1967 liczba dzieci we wszystkich szkołach podstawowych w Łodzi wynosiła 105 tysięcy. W roku szkolnym 1969/70 wynosi już około 88 tysięcy, a w roku 1975 spadnie do około 64 tysięcy. Będzie to rzutować na liczbę dzieci w szkołach ponadpodstawowych. I tak, o ile w r. 1966 wszystkie łódzkie szkoły średnie ukończyły około 15 tysięcy młodzieży, o tyle w roku 1969/70 ukończy je około 12 i pół tysiąca, a w roku 1975 liczba ta spadnie do około 8 i pół tysiąca maturzystów. Na przestrzeni dziewięciu lat niemal o połowę.

— Niż demograficzny stwarza z pewnością nową sytuację w szkolnictwie?

— Oczywiście. Nową i — z punktu widzenia szkolnictwa — korzystną z wielu względów. Zmniejszy się ilość dzieci w oddziałach i klasach, a zatem — przy niezmienionym składzie osobowym nauczycieli — można je objąć lepszą opieką. Już teraz nastąpiła widoczna poprawa w zakresie zajęć lekcyjnych i pozalekcyjnych. Poprawia się i rozwija system zajęć w pracowniach i świetlicach. Słowem — pozytywne skutki tego niżu w szkolnictwie odczuwamy już dziś. Stwarza on warunki do rozwoju nowych form pracy dydaktycznej w szkołach wszystkich rodzajów i wszystkich typów.

— Nowa sytuacja — nowe zadania?

— Niewątpliwie. Na tle konkretnej sytuacji, jaką stworzył niż demograficzny, przed szkolnictwem podstawowym i ponadpodstawowym stanęły nowe, nader ważne problemy. Ich właściwe rozwiązanie powinno wydać owoce już w niedalekiej przyszłości. Oto do roku 1975, przyjmując za punkt wyjścia lata 1966 i 1967, liczba młodzieży opuszczającej mury szkolne spadnie o około jedną trzecią. To właśnie część tej młodzieży będzie zaspokajać bieżące potrzeby różnych gałęzi gospodarki narodowej w Łodzi, bo przecież tylko pewna jej część podejmie dalsze studia. Absolwentów szkół będzie więc znacznie mniej, ale zapotrzebowania kadrowe naszej gospodarki nie zatrzymają się w miejscu. W tej sytuacji niedoboru nie stać nas — i nie będzie nas stać — na luksus niedouczonej młodzieży. Ilość

ANDRZEJ MAKOWIECKI

„GR”-rewia

ćwierćwiecza

Pogoda jest sugestywna...

W sobotę trzynastego czerwca o szóstej rano świeciło słońce. Spodziewałem się wielkiego upału. Jeżeli na cienką koszulę włożyłem jeszcze cieńszą marynarkę, to tylko dlatego, że w godzinach popołudniowych miała się odbyć w warszawskiej Sali Kongresowej uroczysta akademія z okazji „Dnia Drukarza” i wy padało wystąpić w pełnym stroju. Tymczasem już w pociągu zaskoczył mnie deszcz i przenikliwe zimno.

Akademia udała się znakomicie. Referat okolicznościowy wygłosił przewodniczący Związku Zawodowego Pracowników Poligrafii — Jerzy Cichoński. Przemawiali, członek Biura Politycznego KC PZPR, Ignacy Loga-Sowiński oraz minister Kultury i Sztuki, Lucjan Motyka. Stu trzydziestu drukarzy odznaczono wysokimi odznaczeniami państwowymi. Uczestnicy akademii w imieniu pięćdziesięciotysięcznej rzeszy pracowników ZZPP, uchwalili list do Władysława Gomułki. Potem rozpoczęła się część artystyczna: wystąpiło wielu znakomitych artystów i orkiestra Stefana Rachonia, której wysłuchałem w przemocznym do suchej nitki garniturze i w pożyczonym swetrze.

Pogoda jest sugestywna...

Lało w Warszawie, lało w Łodzi. „Głos Robotniczy”, który w sobotnim wydaniu zapowiedział drukiem na niedzielę wielki, plenerowy jubileuszowy festyn — wpadł z tego powodu w panikę. Tyle stania, tyle przygotowań. I tyle chmur... W ostatniej chwili przytomni redaktorzy — organizatorzy poczynili zmiany w programie, powiadając o tym swoich czytelników za pośrednictwem Radia. Te lewizji i „Dziennika Łódzkiego”: głów-

ny, nabity głośnie nazwiskami Koncert estradowy przeniesiono do Hali Sportowej. Zredukowano ilość imprez na Zdrowiu, rezygnując z boksu, judo i siatkówki.

Pogoda jest sugestywna...

W niedzielę rano nie dałem się zwieść wątlm przeblyskom słońca. Włożyłem grubą koszulę, dwa swetry, marynarkę, szalik i płaszcz. Jadąc tramwajem na Zdrowie przewidywałem wielkie fiasko: deszcz, brak frekwencji i ponure miny kolegów dziennikarzy z największej, najpoczytniejszej łódzkiej gazety. Tymczasem rozwijał się piękny dzień, przygrzało ostro z nieba i sam miałem ponurą minę okutany w nadmiar ciężkich łachów.

2.

Gwoździem przedpołudnia były wyścigi kolarskie dla dzieci, zorganizowane na bieżni boiska przy ulicy Srebrzyńskiej. Wyścig Pokoju, który jest największą amatorską imprezą kolarską świata, skupia na starcie około stu zawodników.

Dalszy ciąg na str. 4

Dalszy ciąg na str. 5



Największą niespodzianką ub. tygodnia był WYNIK WYBORÓW DO IZBY GMIN. Wbrew wszelkim prognozom i manewrowi Wilsona, który wybory znacznie przyspieszył, labourzyści przegrali. Otrzymali tylko 43 proc. głosów, pod czas gdy w 1966 roku — 48 proc.. Odwrotnie konserwatyści — ci uzyskali teraz 46,4 proc. wobec 41,9 w wyborach poprzednich. Tak więc nie Wilson, lecz Heath utworzy nowy rząd.

Takiego obratu sprawy nie oczekiwali nie tylko Partia Pracy, ale także konserwatyści. Nie ukrywają oni, że w pewnym stopniu zostali zaskoczeni. W Londynie nawiązując do zawodu, jaki sprawili komputery, żartuje się, że źle je zaprogramowano. Co jednak stało się naprawdę, że wbrew oczekiwaniom z krótkiej walki przedwyborczej zwycięsko wyszli torysi?

Rząd Wilsona stanął w szranki wyborcze nie mając za sobą ważkich argumentów. Od trzech lat nie miał do odnotowania żadnego sukcesu w polityce międzynarodowej, w sytuacji ekonomicznej natomiast tylko jeden: wyrównanie, a nawet uzyskanie pewnej nadwyżki w bilansie płatniczym. Wzrosły jednak niepomiernie koszty utrzymania, a obietnice zredukowania bezrobocia i zwalczania nędzy, rozwoju budownictwa mieszkaniowego i całej gospodarki — pozostały tylko na papierze. W programie wyborczym nie zaferowano niczego przekonującego społeczeństwu.

Wprawdzie również torysi nie zapowiedzieli żadnych nowych idei społecznych i decydującej ekonomicznej poprawy, ale przecież nie ich obciążały ostatnie lata.

Wreszcie trzeba wziąć pod uwagę i to, że bardzo rzadko rządząca partia uzyskuje w W. Brytanii mandat na trzecią kadencję.

Czy zmiana ekipy rządzącej przyniesie zmianę brytyjskiej polityki?

Nie, tego nie należy oczekiwać. Nie wskazują na to programy wyborcze obu partii, ani osoba nowego premiera — Heatha. Jego gabinet będzie prowadził politykę zbliżoną z polityką labourystów wobec NATO i Stanów Zjednoczonych, może nawet bardziej zaangażowaną. Nie przewiduje się też większych zmian w stosunkach W. Brytanii ze Związkiem Radzieckim.

Edward Heath, którego główna działalność przed wyborem na lidera partii w 1965 roku wiązała się z wejściem W. Brytanii do Wspólnego Rynku, z pewnością będzie o to obecnie gorąco zabiegał. Agencja France Presse nazywa go nawet „najbardziej europejskim Brytyjczykiem”, mając na uwadze właśnie to, że jest on zagorzałym zwolennikiem wprowadzenia W. Brytanii do EWG.

Jeśli więc wybory do Izby Gmin nie przyniosą najprawdopodobniej żadnej istotniejszej zmiany w polityce brytyjskiej — mogą mieć następstwa poza granicami tego kraju. Przegrana Partii Pracy pośrednio może wpłynąć na osłabienie pozycji socjaldemokracji w innych krajach. Takie ewentualne skutki wyborów brytyjskich będą jednak do zaobserwowania po pewnym czasie.

Skoro już dzisiejszy przegląd wydarzeń przebiega pod znakiem wyborów — powróćmy jeszcze DO WYBORÓW W TRZECICH KRAJACH ZACHODNIONIEMIECKICH. Ich wynik komentowany był przez opozycję CDU/CSU jako początek rozpadu koalicji SPD-FDP. W tej sytuacji z zainteresowaniem obserwowano głosowanie w Bundestagu nad budżetem federalnym. Wynik: 250 głosów za i 242 przeciw. Koalicja wygrała więc ciężką parlamentarną próbę.

W chwili, kiedy zsyłam komentarz do druku, w Bonn rozpoczął się trzydniowy zjazd FDP. Dla powyborczej sytuacji w koalicji ma on istotne znaczenie. Partia ta przeżywa bowiem pewien wewnętrzny ferment, którego wyrazem jest, iż Menke i jego grupa, chcieliby zalegalizować statutem tworzenie wewnątrz partii ugrupowań frakcyjnych. W ten sposób konserwatywne skrzydło FDP dąży, by zacytować sło wa jednego z jego przywódców „do zmiany oblicza politycznego partii, szczególnie zaś do odejścia od lewicowego kursu”.

Boński korespondent Reutera przypomniał w związku z tym, że w 30-osobowej frakcji parlamentarnej FDP koalicję z partią Brandta z pełnym zaangażowaniem wspiera tylko 18 deputowanych, 12 zaś zaledwie podporządkowuje się dyscyplinie partyjnej.

Wewnętrzna sytuacja w partii Scheela dotychczas nie uwewnętrzniła się w parlamencie. Głosowanie w Bundestagu, o którym powyżej, potwierdza to. Z pewnością więc zjazd boński nie będzie miał wpływu na większość rządową.

I na zakończenie jeszcze kilka słów o stosunkach PARYŻ-BONN. Za kilka dni odbędzie się w Bonn kolejne spotkanie konsultacyjne na najwyższym szczeblu. Przypuszcza się, że tym razem jednym z zasadniczych tematów rozmów będzie polityka wschodnia Brandta. Rząd francuski popiera tę politykę, kontynuując linię de Gaulle'a, równocześnie jednak nie chciałby dopuścić, aby NRF była „uprzywilejowanym rozmówcą ze Wschodem”. Choć więc atmosfera, w jakiej odbędzie się konsultacje jest, jak pisze prasa NRF, doskonała, w rozmowach z pewnością pojawią się pewne odmienności.

W. SŁAWSKI

Srebrny jubileusz „Głosu Robotniczego”

Rozmowa z redaktorem naczelnym red. Sergiuszem Klaczkowem

ODGŁOSY: W dniu swego Jubileuszu, 20 czerwca br., „Głos Robotniczy” ukazał się w nakładzie ponad pół miliona egzemplarzy. Co złożyło się na to, że Wasza gazeta ma tak ogromny nakład?

S. KLACZKOW: Wiele czynników. Nie byłbym w stanie przeprowadzić, tak na gorąco, drobiazgową analizę tego zjawiska. Najogólniej rzecz biorąc, spowodował to trafny wybór drogi, którą idziemy od 1959 roku, kiedy to przeżyliśmy naprawdę ciężkie dni. W tym przełomowym czasie „Głos” miał w Łodzi zaledwie 8 i pół tysiąca nakładu, a łącznie z mutacjami na województwo osiągnęliśmy górny pułap około 42 tysięcy egzemplarzy. Powieździeliśmy sobie wówczas tak: musimy stworzyć gazetę partyjną, która będzie instrumentem i reprezentantem interesów naszej partii, będzie się identyfikować z interesami i zainteresowaniami ludzi pracy w mieście i na wsi. Gazeta musi zdobyć autorytet i dać się lubić.

Tak sformułowany program działania stał się naszą dewizą, której trzymamy się konsekwentnie do dnia dzisiejszego. I jeśli by można wymierzyć wartość naszej wspólnej pracy redakcyjnej ilością nakładu, mógłbym z czystym sumieniem powiedzieć, że mamy pewne osiągnięcia. Jednakże ważniejsza jest dla nas i bardziej adekwatna merytoryczna ocena gazety, której dokonują co dzień nasi Czytelnicy.

ODGŁOSY: Panie Redaktorze, czy mógłby mi Pan powiedzieć kto jest Czytelnikiem „Głosu Robotniczego”?

S. KLACZKOW: Znać swojego adresata — to głów na troska każdego pisma, a organu partyjnego w szczególności. Na przestrzeni lat przeprowadziliśmy wiele prób identyfikacji naszego Czytelnika, jednak brak odpowiedniego aparatu badań czegoś hamował te zapędy. Dopiero niedawno, kiedy przy Łódzkim Wydawnictwie Prasowym RSW „Prasa”, powstała komórka badań socjologicznych, można już mówić o konkretnych pracach nad ustaleniem „tożsamości” Czytelnika „Głosu”. Teraz wiemy już, że 40 procent naszych Czytelników stanowią łodzianie, a 60 procent — mieszkańcy województwa. Ze czyta nas 40 procent kobiet i 60 procent mężczyzn, że

52 procent Czytelników „Głosu” — to ludzie w wieku do 30 lat, co zresztą oddaje w sposób prawidłowy proporcje struktury społecznej pod względem wieku. Wiemy również, że 20 procent ogółu naszych Czytelników czyta „Głos Robotniczy” od 25 lat. I jeszcze jedno: nasza gazeta jest czytana — jeśli tak można powiedzieć — najbardziej równomiernie, to znaczy ma swoich czytelników we wszystkich środowiskach społecznych, a w każdym z nich około 80 procent Czytelników stałych.

ODGŁOSY: Jakże pożyteczna jest ta czytelnik?

S. KLACZKOW: Ustaliśmy — tym razem na podstawie własnych ankiet i sondaży środowisk — że nasi Czytelnicy preferują informację polityczną, komentarz polityczny do aktualnych wydarzeń międzynarodowych, reportaże zagraniczne oraz pogłębioną publicystykę światopoglądową i ekonomiczną, ujęte dyskusyjnie. Ale obok tego szukają na naszych łamach również rozrywkę.

ODGŁOSY: Jakże wnioski nasuwają się z takich sondaży opinii publicznej?

S. KLACZKOW: Bardzo ciekawe i nader pouczające. Ankiety i wyniki badań środowiskowych pod kątem czytelniczości naszej gazety studiuje z całą uwagą i szeroko dyskutujemy na zebraniach kolegów i zespołu redakcyjnego. Każda opinia Czytelnika „Głosu” jest ważna, ponieważ stanowi taką czy inną ocenę gazety, nie-raz bardzo krytyczną. Każdy konstruktywny głos jest brany pod uwagę, wnioski zaś służą do permanentnego kształtowania i ulepszenia modelu naszego pisma.

Tak się złożyło, że mniej więcej w tym samym czasie łódzka instancja partyjna dokonała oceny środowiska dziennikarskiego, a wojewódzka — oceny naszego pisma. Wnioski i wytyczne obu komitetów partyjnych odnośnie redagowania pisma są dla nas obowiązujące. Są one całkowicie zbliżone z naszą wewnątrzredakcyjną oceną gazety, jak również, w znacznej części, z oceną i sugestiami naszych Czytelników.

ODGŁOSY: Redakcja organizuje wiele pożytecznych akcji i konkursów. Proszę o kilka słów na ten temat.

S. KLACZKOW: To także należy do programu działania naszej gazety jako in-

strumentu partii. Jego celem jest, z jednej strony, organizowanie życia społecznego, a z drugiej — popularyzacja gazety wśród najszerszych kręgów społeczeństwa w Łodzi i w województwie. Już same hasła: „Głos Robotniczy” — swoim Czytelnikom, czy „Głos Robotniczy” wszędzie z Tobą — sugerują dążenie pisma do zacieśniania więzi z Czytelnikami. Przywiązujemy wielką wagę do inicjowanych przez nas akcji i konkursów.

ODGŁOSY: Jakże to były akcje?

S. KLACZKOW: Wiele ich było, mnóstwo. Na przykład popularyzujące czynności społeczne w mieście i na wsi, konkursy dla rolników, konkursy pobudzające wynalazczość i wprowadzenie postępu technicznego, akcje skierowane na usprawnienie organizacji pracy w zakładach przemysłowych i instytucjach i wiele innych. Obok tych, inicjowaliśmy również akcje, budzące uczucia patriotyczne i poczucie dumy narodowej. Wspomnę tu choćby zorganizowane przez „Głos Robotniczy” spotkanie łodzian z „Czterema pancernymi”. Wyległo wówczas na ulice około ćwierć miliona mieszkańców miasta i nie udało się nam zakończyć tego „rendez-vous” triumfalnym przejazdem czołgu przez Piotrkowską. Niemniej, tak szerokie zainteresowanie społeczeństwa tą akcją wska-

zuje ewidentnie na gorące i głębokie przywiązanie i sentymenty do bohaterkiej historii naszego narodu.

ODGŁOSY: Czy zechciałby Pan uchylić rąbka tajemnicy i powiedzieć, jakie plany ma redakcja odnośnie dalszego rozwoju pisma?

S. KLACZKOW: Obecnie dyskutuje się generalnie nad modelem gazet regionalnych i ich korelacją z pismami centralnymi. W Polsce problem ten ma inny aspekt, aniżeli w pozostałych krajach socjalistycznych, gdzie pisma centralne absolutnie dominują nakładem nad pismami regionalnymi. Wspomnę nawiasem że pod względem wysokości nakładu „Głos Robotniczy” znajduje się na trzecim miejscu w kraju wśród partyjnych organów terenowych i że zamierzamy — tutaj uchylam rąbka tajemnicy — wysunąć się na drugie miejsce. Jest to oczywiście informacja bardzo poufna.

ODGŁOSY: Ależ naturalnie, poinformujemy o tym wyłącznie czytelników „Od-głosów”. A inne tajemnice?

S. KLACZKOW: Nie mamy już tajemnic. W perspektywie zakładamy zwiększenie serwisu informacyjnego i publicystyki, a to z kolei wymaga spełnienia odpowiednich warunków: zwiększenia objętości gazety i rozwoju bazy poligraficznej. Jeśli chodzi o papier, jest to problem na razie trudny do rozwiązania. Jednakże instancje partyjne wszystkich szczebli robią usilne starania, aby pomóc nam w tej sprawie i mamy nadzieję, że w przyszłości zostaną one uwieńczone powodzeniem. Natomiast kwestia bazy technicznej będzie rozwiązana lada rok w związku z budową nowoczesnych zakładów poligraficznych na Widzewie.

ODGŁOSY: Dziękujemy za rozmowę i jeszcze raz życzymy Panu, Panie Redaktorze oraz całemu zespołowi „Głosu Robotniczego” dalszych pięknych osiągnięć w pracy i... miliona egzemplarzy.

Wszystko o wszystkim

Duchowny w opałach

„EPOKA” — MEDIOLAN

Nazwisko arcybiskupa Rawenny, Salvatore Baldassari, nie schodzi ze szpalet gazet włoskich. Papież Paweł VI postanowił wystąpić do Rawenny swego emisariusza, aby ten zorientował się na miejscu w sprawach diecezji, budzącej już od dawna niepokój Watykanu.

Rawenna zawsze wyróżniała się „lewicowymi” poglądami i antykatolickim nastawieniem.

Czym to ścigał na siebie arcybiskup z Rawenny ten gniew papieża? Choćby zazwyczaj sprawy stolicy papieskiej okryte są nieprzeniknącą tajemnicą, tym razem dołącznie wiadomo, o co chodzi.

Arcybiskup Baldassari rozpoczął swą duszpasterską działalność w Rawennie 13 lat temu. Jego pierwszym krokiem na nowym miejscu pracy było zamknięcie miejscowej gazety antykomunistycznej i skierowanie do nauki w szkołach świeckich ponad 40 seminarzystów. Po soborze ekumenicznym zaczął działać jeszcze bardziej zdecydowanie i całkiem otwarcie zainicjował tak zwaną politykę „dialogu z komunistami”.

Od tego czasu arcybiskup Baldassari stale występuje po stronie ludzi pracy, a nawet odprawia modły w fabrykach okupowanych przez strajkujących robotni-

ków, którzy żądają cofnięcia zwolnień z pracy.

Szczególnie gwałtowną reakcję Watykanu wywołała działalność arcybiskupa w roku 1968, w przeddzień wyborów do parlamentu. W przeciwnieństwie do swych dostojnych kolegów, otwarcie krytykując wytyczne Watykanu, Baldassari wezwał wiernych do głosowania na tych kandydatów, których wskazuje im ich sumienie. Ponadto ostro potępił wyższe koła hierarchii kościelnej, które usiłowały usprawiedliwić nazistowskiego przestępcę, biskupa Defreggera, splamionego krwią wielu Włochów, bestialsko pomordowanych w 1944 roku.

Niedawno, specjalna włoska komisja episkopalna przeprowadziła rozmowy z księżmi z diecezji arcybiskupa Baldassari, obejmując, tym niejako badaniem śledczym, szeroki zakres spraw, a wśród nich również kwestie celibatu. Śledztwo ujawniło, iż liczni księża mają negatywny stosunek do tego wiekowego zakazu, objętego dogmatem wiary katolickiej. Kiedy oburzona komisja wytknęła arcybiskupowi ten niesłychany fakt, ten odpowiedział spokojnie:

„Przyjaciele, skoro chcecie śledztwa — musicie być przygotowani na wysłuchanie prawdy”...

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- ★ JAN BABIŃSKI — „Strzelczyk” i mikrony
 - ★ ZOFIA TARNOWSKA — Projekty a życie
 - ★ KONRAD FREJDLICH — Ludzie i okręty
- oraz felietony, recenzje, nowela kryminalna.

Dwugłos o Czechosłowacji

WIESŁAW JAZDZYŃSKI

Kłopoty, ale i nadzieje

Polski Ośrodek Informacji i Kultury w Pradze Czeskiej przygotował bardzo starannie dekadę Łodzi. Jest to cykl imprez objęty wspólną nazwą — „Poznajemy polskie ziemie”. Nasze miasto prezentowało małą galerię obrazów dobranych, moim zdaniem, bardzo starannie, ukazujących nie tylko pewne charakterystyczne cechy dawnej i współczesnej Łodzi, ale i bogactwo widzenia artystycznego — trochę rzetelnej tradycji malarzkiej i trochę bardzo interesującej, ambitnej nowoczesności. Prezentowaliśmy także ze trzy setki tomów Wydawnictwa Łódzkiego, starając się uwzględnić wszystkie kierunki naszych zainteresowań edytorskich. I jeszcze filmy, bardzo interesujące filmy o Łodzi, zwłaszcza — „Pałace Ziemi Obiecanej”. Folder do tego, katalogi, afisze. Całość przemyślana bardzo starannie, przyjęcie powitalne dla gości bardzo przyzwoite, wystąpienie Jana Koprowskiego na deser, a jednak otwarcie wypadło w sumie średnio. Nie powiem — dobrze i, że źle — powiedzieć nie mogę.

Nietrudno zrozumieć dlaczego. Stolicą republiki, miasto świątne, przesycone historią, naszpikowane nieprawdopodobną ilością zabytków, bardzo jest obecnie ubogie, jeśli chodzi o życie literackie. Nie wchodzi tygodniki, miesięczniki czy też inne pisma poświęcone literaturze, przy ulicy Narodni stoi pusty gmach Związku Pisarzy Czeskich, pusty, gdyż Związek nie istnieje. Podejmowane są właśnie próby reaktywowania jego działalności na nowych zasadach. Oby się powiodły. Bardzośmy dotkliwie odczuli tę pustkę w życiu literackim, porwały się nieci wiążące czeskie i naszych pisarzy, prawdę mówiąc nie bardzo wiedzieliśmy z kim i jak rozmawiać. Pisarze rozmawiają przecież nie tylko przy pomocy piśm, normalnie funkcjonujących wydawnictw, muszą — jak wszyscy — dysponować swoimi miejscami spotkań, bezpośrednio wymieniać poglądy i informacje. Nie ma takich miejsc jeszcze w dzisiejszej Pradze, proces normowania życia literackiego, jeśli mi wolno w tak skomplikowanej sprawie wyrażać poglądy, potrwa dość długo.

W tej sytuacji nie nazbyt wielu mieliśmy gości w naszym Ośrodku, choć zaproszeń poszło co najmniej trzysta. Niechęć, obawa, szkodliwa presja, czy tylko i po prostu przejściowy, miewny nadzieje, stan bierności i rozproszenia? Trudno odpowiedzieć, po zostaliśmy więc przy samych pytaniach. Pisarze ciągną wszakże do siebie, są ciekawi, chcą wiedzieć co u nas, pragną w gruncie rzeczy wymiany książek, przekładów z naszych literatur nigdy nie było za wiele, więc w końcu mieliśmy weale zaonych gości. Pojawili się tłumacze, wśród nich norwidziści (dzieła Norwida wychodzą właśnie w Pradze), nie zabrakło znakomitego tłumacza z naszej literatury Jana Pilarza, znanego nie od dziś przy jaciela Polaków. Oficjalną Pragę reprezentował dr Radmil Tomasek, kierownik Wydziału Kultury tamtejszej Rady Narodowej. Zespół może skromny jeśli go mierzyć liczbą osób, ale reprezentatywny, dowodzący, że sytuacja normuje się powoli.

Łódź wzbudziła żywe zainteresowanie jako środowisko nie tylko literackie, ale i naukowe, filmowe czy plastyczne. Przekonaliśmy się przy okazji, że nie jest to miasto nieznanne. Krótka historia Łodzi, właśnie ta robotnicza i re-

wolucyjna, posiada swoją atrakcyjną moc, wiele bowiem miast posiada wspaniałe zabytki, zamki, pałace, kościoły, znacznie mniej — odważnych ludzi, którzy potrafili niejedną raz wystąpić przeciw temu, co naprawdę było złe. Myślę, że po wizycie naszych filmowców, przedstawicieli opery i teatrów, nasza także okazała się pożyteczna, choć właśnie nam piarszom najtrudniej było prowadzić rozmowy konkretne, kończące się realną wymianą dorobku literackiego. Ale tylko w Pradze.

Odwiedziliśmy stary Uniwersytet Franciszka Palackiego w Ołomuńcu. Witał nas niezłym winem Dziekan Wydziału Filozoficznego, witał prof. Jan Jahn, kierownik Katedry Sławiastyki, wraz ze swoimi współpracownikami. Mamy na tym Uniwersytecie filologię polską, około trzydziestu studentów (niektórzy polskiego pochodzenia) na ogólną liczbę 5 tysięcy. Naukę polską reprezentuje wychowanek Uniwersyteu Warszawskiego — doktor Zbigniew Książczak, lektor i wykładowca.

Stary to Uniwersytet, malownicze dziedzińce, arkady, długie i ciemne korytarze przypominają wileńską uczelnię, jak zresztą całe miasto, ślicznie rozłożone na wzgórzach, nazywane kamiennym kwiatem ziemi chanańskiej, ze względu na rzadko spotykany zespół zabytków architektury. Od stylu wczesnoromańskiego do późnego baroku i rokoka, wszystko w Ołomuńcu, znajdziesz.

Czuliśmy się trochę jak u siebie w domu, kiedyśmy słyszeli, jak to Praga zabiera najzdolniejszych naukowców, filmowców, aktorów, czy operowych śpiewaków, za blisko z Ołomuńca do Pragi, zupełnie jak z Łodzi do Warszawy. Przecież jednak nie to było najważniejsze. Rozmawiali z nami o dzieło głodni wiedzy o Polsce i jej literaturze. Rozumieliśmy ten głód, a tak — szczerze mówiąc — ogarniał nas chwilami niepokój. Jakże w końcu obraz, zwłaszcza naszej współczesnej literatury, uzyska ołomuński student? Wyda je się, że bardzo, ale to bardzo niekompletny, żeby już nie powie dzieć — jednostronny, uproszczony, sprowadzany często do nazwisk budzących sprzeciw. W Ołomuńcu nawiedziła mnie bardzo natrętna refleksja — mało zrobiliśmy dla rzetelnego poznania oświeconych kultur, przecież to nie powinno tak być, żeby pisarz, który dawno zerwał ze wszystkim co polskie, nas właśnie reprezentował. Myślę, że można odkryć wielką i bardzo konstruktywną siłę w tak zwanych stosunkach dwustronnych, jednego ośrodka z drugim. Nie chodzi mi akurat o Ołomuńca, choć szcunkiem wymieniano tam nazwiska profesorów naszego Uniwersytetu Łódzkiego, czy Akademii Medycznej. Chodzi o szerszą sprawę. Przed laty pisał Ludwik Krzywicki, że tradycyjny nasz inteligent świetnie zna Paryż, interesuje go życie obcyca jowe w Tonkinie, a także seksualne życie ostatnio odkrytych plemion, a nie go nie obchodzi miejsce, w którym naprawdę na niego czekają.

Wspomniana refleksja powróciła do mnie w Bratysławie, a więc na ziemi słowackiej. Przede wszystkim godzi się powiedzieć, że w tej części Republiki życie kulturalno-literackie toczy się normalnie. Mielliśmy więc pełne ręce roboty, wizyta za wizytą, rozmowy,

wcale udane próby porozumień. Zapoznaliśmy się dokładnie z planem wydawniczym „Epoki”, wydawnictwa związanego z Komunistyczną Partią Słowacji. Nie brak w tym planie całego szeregu pozycji polskich. Kilka książek Kosidowskiego bije rekordy popularności jak zresztą u nas, drukują się „Opowieści biblijne”, wyjądkiem niebawem Centkiewiczowie, kolejny Fiedler, reportaże Wołanowskiego z szerokiego świata, Tuwim, Staff, Iwaszkiewicz, Dąbrowska należą do tak zwanego żelaznego repertuaru. Wydają w Słowacji i nasi publicyści — jak Krzysztof Teodor Topolitz, i nasi naukowcy — Rudniański, Gerstmann.

Bardzo interesująco przedstawiają się książki zbliżające nasze narody. Poszerzona o elementy współpracy polsko-słowackiej książka pułkownika Stanisława Walacha pt.: „Był w Polsce czas” wyjdzie niebawem w Bratysławie. Miałem możliwość zapoznania się ze „Słownikiem słowackiego narodowego powstania”. W tej książce, wydanej bardzo pięknie, nie brak akcentów polskich, podkreślających braterstwo broni w czasach walki z faszyzmem. Dyrektor „Epoki”, Jarosław Hlinczyk, nie czynił nam żadnych wyrzutów, mieliśmy je sami. W planach naszych wydawnictw mało książek słowackich. Nikt tu nie mówi o równości, starszym jesteśmy krajem, większym i dłuższą naszą tradycją, ale i tak coś tu jest nie w porządku.

Związek Pisarzy Słowackich posiada własne i czysto literackie wydawnictwo. Pozycji polskich także kilkanaście, w sumie — je ślim się nie pomylił — ponad trzydzieści w ciągu jednego roku w obu wydawnictwach. Literaci słowacy bardzo nas serdecznie powitali. Pękła przy okazji flaszką przedniego koniaku, rozmowa miała charakter bardzo konkretny. Będziemy próbowali wydać antologię prozy słowackiej, mówiliśmy dużo o powieści Vladimira Minaca pt. „Generacja”. Jest to z pewnością bardzo interesująca proza o charakterze panoramycznym, bo haterowe książki przechodzą drammatyczne dzieje z lat 1939—1948. Warto taką powieść wydać. Sam autor jest człowiekiem bardzo skromnym, mówili więc za niego koleżdy dr Vladimír Žabkay i Vincent Sabik. Nie trzeba na początek więcej, w ogóle trzeba mniej obiecywać, więcej dla wzajemnych stosunków uczynić. Nasi koleżdy słowacy pytali nas czy znamy takie ludowe porzekadło polskie, wzięte z naszego wieszczą: cicho wszędzie, głucho wszędzie, nie było, nie będzie dzie. Gorkkie to trochę, ale oddaje istotę dotychczasowych stosunków, bardzo jednostronnych, mało interesowaliśmy się literaturą mi przyjaciół.

Ta właśnie rozmowa, serdeczna, szczerza, odrobine złośliwa miejscami, bardzo nam przypadła do gustu, gdyż bardzo byśmy chcieli uzyskać w naszym Wydawnictwie Łódzkim — pewną nową specjalność. Pragniemy wydawać najlepsze pozycje naszych sąsiadów, ale tych trochę jakby zapomnianych — z Baku, Tbilisi, Mińska Białoruskiego, Bratysławy, Sofii, zdolnych pisarzy tam nie brak.

Wieczór spędziliśmy w winiarni „Pod Basztą”, patrzyliśmy także na Dunaj. Groźny jest jeszcze, mętny, burzliwy, ale uspakaja się. Ten właśnie obraz uspokajającej się rzeki towarzyszył nam w drodze powrotnej do kraju.



Neogotycki zamek Hluboka

JAN KOPROWSKI

W Pradze i Bratysławie

Ze wszystkich stolic europejskich, które miałem szczęście obejrzeć, Praga należy bez wątpienia do najpiękniejszych. Jeśli nie liczyć sześciogodzinnego przed laty postoju w stolicy Czechosłowacji (za powrotem z Monachium), w dodatku w porze chmur i silnego deszczu, kiedy miasto nie przedstawia się najlepiej — tego roku byłem tam po raz pierwszy. Po raz pierwszy, ale (mam nadzieję) nie po raz ostatni. Jeśli pragnąłbym jeszcze gdzieś kiedyś pojechać, to właśnie znów do Pragi. To miasto posiada orok niepospolity, a piękność architektoniczną może mu po zadróścić sam Paryż. Praga na pewno jest urodziwsza od Budapesztu, a zdaje się, że i od Wiednia. Posiada ona bardzo urozmaicone położenie i jest dostatecznie stara, aby prezentować wszystkie style od romańskiego poczynając, na secesji kończąc. O Wiedniu w Warszawie i Dunaju w Wiedniu można rzec, że płyną raczej na kraju tych miast. Weitawa przebiega idealnie pośrodku, przy dając jej dodatkowej atrakcji, a liczne mosty z największym i najokazalszym Mostem Karola na czele podnoszą walory czeskosłowackiej metropolii.

Ulokowano nas z Wiesławem Jazdzyńskim i red. Lesmanem z „Expressu” w hotelu „Tatran” przy Vaclavskem Namesti. Z szóstego piętra oglądaliśmy dachy praskich kościołów i wieże praskich kościołów. Vaclavske Namesti z przecinającą je u wylotu ulicą Na Příkopie te serce miasta. Ruch tuaj, zwłaszcza wieczorami, olbrzymi. Liczne hotele, restauracje i kawiarnie, piękne sklepy z zachęcająco urządzonymi wystawami ściągają tłumy prażan i zagranicznych turystów. W gęsto rozstawionych sklepach i winiarniach, w przejściach podziemnych — wystawy i również sklepy. Tego właśnie należy Pradze zadróścić: pasażerów, przejść pod jezdniami, licznych restauracyjek,

barów i kawiarni. Nigdzie nie ma tłoku, każdy może znaleźć dogodny dla siebie miejsce. Podobna nam się system obsługowy w restauracjach: jeden kelner przynosi napoje, drugi główne dania, trzeci inkasuje, a jeszcze inny sprząta. Dzięki temu wszystko odbywa się sprawnie, ludzie nie wyczekują godzinami, aż ktoś ich zauważy i zechce łaskawie przyjąć zamówienie. Wiadomo nam, że podobny system obsługi, wprowadzony na Węgrzech, również zdał egzamin i przyjął się tam na dobre. Czy nie można by czegoś takiego zastosować u nas? Czy w naszych restauracjach musi się pracować sposobem przedpotopowym, kiedy człowiek zależy od humorów jednego kelnera — pana i władcy swojej części sali? Skoro jesteśmy przy tych sprawach, wspomnijmy, że zaopatrzenie w Pradze przedstawia się weale nieźle. Artykułów żywnościowych pod do statkiem, technicznych także, a jeśli o trunki chodzi — można tu dostać nawet najwybredniejsze koniaki francuskie. Zresztą w Czechosłowacji produkuje się znakomite piwa, z winnic na Morawach i Słowacji „splywają” do sklepów i domów dobre białe i czerwone wina, z których najbar dziej smakowała nam Frankowka.

Pogodę mieliśmy w kratkę, przez ważne pochmurną, ale przez ostatnie dwa dni pobytu było ciepło i słonecznie. Przed turystą odrywają się wówczas uroki i wdzięki miasta. Wędrowki po Starym Rynku, Młodej Stranie, Hradczanach i Wyszehradzie na zawsze pozostaną w naszej pamięci. O Zlatéj Uliczce słyszeliśmy i czytaliśmy dawno temu, ale dopiero zobaczenie jej daje pełne pojęcie, czym są te domki, jak z baśni, wkomponowane w niegdysiejszy mur obronny, w których — jak głosi legenda — mieszkający w średniowieczu alchemicy próbowali swych tajemnych zdol

Dokończenie na str. 10

Przez sady, zastodola leciało szczerkanie psów. Droga pełna tren kolorowych bud. Wpędziłem krowy w ten chłodny, liściasty półmrok sadu. Przywiązałem je krótko do pni jabłonek. Pobiegłem na wieś.

Cyganie stali koło kapliczki. Wozy pełne pierzyn, czarnych dzieciaków, odpustowo barwne. W pyłe drogi leżały chude psy. Od sołtysa wyszedł cygański wójt. Był w wąsach, siwej brodzie. Dał znak. Wozy skręciły w połą drogę. Część dojechała do zgruzowanej ceglalni. Pozostałe pociągnęły ku dalekiemu brzeziniakowi.

We wsi spędzano do obór drób. Kobiety ścierały z płotów pościel. Cyganki rozbiegły się po obejściach. W oczach, języku, w ciemnych dłoniach niosły przepowiednie życia i śmierci. I wróżbę wesela, i narodzin. A dzieci z naszej wsi już siedziały wokół cygańskich obozów.

W dopalającej się za wsią zorzy, w jeziorach ognisk tańczyła białopłenna brzezina. Przesypywały się

Nasze dziewczyny coraz mocniej ścisnęły harmonistę żywym pierścieniem. A każda szła do tej twarzy, do oczu, w gwieździe, księżycu. Moja Janka wisiła oczyma u tych palców całych w muzyce. A harmonista szedł i grał. A moja Janka trzymała już za pasek harmonii.

Pacnął mnie w głowę zeschły krowi talerz.

— Te, dziewczuchy pilnuj — szepnął Franek.

Podszedłem do tego żywego pier

nie przeklinano sołtysa, że pozwolił w wsi zostać Cyganom. I dosięgła go kłatwa. Syna miał w wojsku. Przeto puściła mu się synowa w brzeziniaku, przy cygańskim ognisku. Z tym Antkiem znalazł rzeki. Antek zapil się, napluł matce w progi, ojca zamknął w chlewiku. Nie pojechał do roboty w mieście. Całą noc i dzień cały kochali się z sołtysową synową w cygańskim brzeziniaku, pod cygańską gitarą. A chłopaki ze szkół w mieście, z podstawówki za lasem urządzili

Rzuciła. Z miechów, klawiszy wyleciał złoty deszcz. Harmonista zaklął. Pociągnął ku wsi tę podmiejską pannę. Szli za nimi inni. Tańczęli na ulicy naszej wsi. Mali chłopcy grali na gitarach, grzebie niach. Za pęta, kwaśną papierówkę.

Moja Janka wpadła w przekwitłe bzy z innym Cyganem. Rzucaliśmy w te bzy kamieniami. Puszczaliśmy z laterek zające światła.

— Nie daruj! Kosę wezmę, wyrżnę cholernych smoluchów!

— Stul pysk, nie skacz! — upominał Franek.

— W tę noc pod miedzianym księżycem, w tańcu, w cygańskich gitarach do cna wywietrzał mi zapach weselnego placka i weselnej wódki.

Dobrze, że nie ginęło we wsi. Ale dużo było rozpusty. Przeto ze wsi za lasem przybył czarniejszy od nocy ksiądz. Chodził po sadach, zastodolach. Z modlitwą na ustach, z tranzystorkiem na pasku. Wszelako dziewczyny wołały Cyganów.

A Cyganki nadal chodziły po chałupach. Taka stara, wysoka przywiodła za rękę młodszą do mojego obejścia. Stały w progu. W rozszerzonych do dna smolnej czer ni, nieruchomych oczach młodej Cyganki ślizał się sropek światła. Stara Cyganka powiedziała:

— Daj, panie młody, mleka. Zaplacu ciebie. Albo wróżbu dam o żonie przyszłej, o dzieciach twoich. Dla córki daj, dla jej dzieci.

— Nie trzeba mi żadnej wróżby — burknąłem.

— Żeby ciebie cholera zadusiła! Dzieci ciebie do bajzlu niech idą. Drutem kolczastym żeby ty się w trumnie zepruł!

Zatykałem uszy. Odwróciła się Cyganka. Wokół jej ciemnych oczu dojrzałem perliste, ciepłe obrączki srebra. Tego wieczora nie poszedłem do Cyganów. A gwiazdy towały w ciemnej wodzie nieba. Nad łąkami przepływało spienione mleko. Przez to rosło mleko, przez pachnące jabłkami sady słabo przebiegały cygańskie granie. Gasły ogniska.

Wkopałem się w siano. Zasnąłem. Z łąkowego szepu przyszła do mnie Cyganka. Widziałem w jej ślepych oczach te srebrne obrączki leż. I słyszałem krzyk tamtej młodej Cyganki. Leciał znad tej harmonii całej w kurzawie złotych drzazg. Przeklinałem tę dziwkę spod miasta. Szarpałem jej płowe włosy. Biłem ją po twarzy. Byłem cały mokry. Deszcz pluśkał w strzesze. Przeciekalo.

Szedł świt.

Wybiegłem ze stodoły. Porwałem pływającą w cębrze bańkę mleka. Biegłem przez łąkę. Wytrząsałem z traw nocny deszcz. Spodnie po kolana miałem mokre.

Brzeziniak był pusty. Przeto powlokłem się do drugiego obozowiska. Na zamokłej łące czerniały dwie plamy po cygańskich ogniskach. Deszcz rozmywał do owsianej żółci koński nawóz. Wylazili z niego białe łebki pieczarek. Kop nąłem jakiś podarty sandał.

Odjechało cygańskie granie. W deszczu odplynęły te cygańskie noce.

RYSZARD BINKOWSKI

Cygańskie noce



przez ogień cienie ludzi, koni. Młodzi, starzy szli do cygańskich ognisk. Jechali ludzie spod miasta. Przez rokićy, łąki, przez stęzaje w rosie zboża płynął zapach benzyny, krzyk, potupy, warkot motorów.

Młodzi Cyganie wyszli na połą drogę. Grali na gitarach, harmoniach. Mały, chudy chłopak walił dłońmi w sito przetaka. Próbowano tańczyć. Piękny był jeden z harmonistów. W twarzy, oczach niosł tę gwiazdę wieczorną, miedziany talerz księżycy. Spod długich palców wylatywała tęskna melodia. Był w niej ten daleki szlak, noc pod gwiazdami, rżenie samotnego konia na błoni.

ścienia. Oderwałem dziewczynę od harmonisty. Odepchnąłem ją. Zobaczyłem w jej oczach te cygańskie twarze, palce pełne muzyki.

— Kit im w dziób — kłął Franek. — Dziwki cholerne! Zapić aby, zatłamsić w sobie.

Przeto wsiedliśmy z Frankiem na rowery. Przywieźliśmy półbasik. Piliśmy wprost z butelki, spod miedzianego księżycy. Inni pili. I te lewe panny spod miasta. W zbożu, trawie zostało dużo butelek. Ra no wisiaty nad kolkami w zbożach pięści gospodarzy z naszej wsi. A mnie słabiej pachniał jesieńny placek weselny i weselna wódka.

Przez to nocne w zbożu kocha-

wagary. Grali z Cyganami w karty, palili papierosy.

I nastąpiła noc druga pełna miedzianego księżycy. Cyganie grali na łące przy ceglalni. Tańczyło pół setki dziewczyn, chłopaków. Ta naj większa spod miasta zabrała się do pięknego harmonisty. Gnioła pierśmi zielone mlechy. Cygan nie mógł grać. Rzucił harmonię. Tańczył z tą podmiejską panną. Kolebał w dłoniach jej biodra. Już pachniało miłością z czerwcowego siana. Podniósł Cygan harmonię. Chciał iść do wsi. Wtedy z łąki, z parkania koni wypadła młoda Cyganka. Biegła z krzykiem pełnym skomlącego bólu. Porwała harmonię. Wpadła w krąg ogniska.

„GR“ - rewia

ćwierćwiecza

Dalszy ciąg ze str. 1

Wyćiąg „Głosu Robotniczego” skupił ich ponad tysiąc, z tym, że dwustu nie zdążyło się na czas zarejestrować: krążyli poza stadionem ze spuszczonejmi głowami, pocieszeni nieudolnie przez równie zrozpaczone rodziców, pozbawieni wielkiej szansy zwycięstwa.

Małe czy duże dramaty?

Przebiełem się przez tłum w okolicy mety, żeby obserwować twarze najmłodszych sportowców. Puszczano ich ze startu szóstkami albo ósemkami. Zwycięzcy podnosili ręce w górę gestem Szurkowskiego, po-

konani schodzili grzecznie z bieżni dysząc ciężko, ale bez łez, z uśmiechem dumy na twarzach. Więc nie było małych dramatów. Jeden niegroźny upadek dziewczynki (dostała za to specjalną nagrodę pocieszenia), jeden defekt łańcucha; impreza przebiegała sprawnie, planowo, dużo emocji, wielki doping zgro madzonych tłumów. Były natomiast duże dramaty. Przeżywali je rodzice pokonanych dzieciaków. „Dlaczego tak szeroko brałeś wiraż?” — krzyczał ojciec na swojego synka. Inni ojcowie i matki też nie kryli uczucia zawodu.

„Mówiłem, żebyś nie zagapił się na startcie!”

„Daleś się wziąć przed samą metą!”

„Widziałeś jak kręcił Janek Kowalski? Widziałeś?!”. Fajtlapo...

Kowalscy uwijają się radośnie wokół małego zwycięzcy. Malinowscy patrzą na nich z zawiścią. Ktoś protestuje, że ojciec Jeżewskiego założył do małego roweru dużą wyszcigową przekładnię. Komuś się zdaje, że triumfator czwartej grupy, w której startował niefortunnie jego Krzyś, miał przekroczony limit wieku...

W sumie jednak panuje atmosfera szczerzej, radosnej zabawy. Redaktorzy „Głosu” wręczają maluchom upominki. Uwijają się fotoreporterzy i operatorzy łódzkiej telewizji,

tłum, wielotysięczny tłum młodych i starych, małych i dużych czytelników gazety bieleje w słońcu niezliczoną, wyprodukowaną przez „Uniwersal” „powodnią” czapczek z nadrukami: „Głos Robotniczy”.

Zainteresowanie ludzi przenosi się z wolna na hipodrom, gdzie zaraz zaczyna się popis jeździecki. Po południu ruszą do boju młodzieżowe drużyny piłkarskie.

3.

Na polanie przy Konstanytownskiej czynna jest od rana wystawa sprzętu sportowego. Namioty, leżaki, pontony, rowery przeróżnych ka librow i cen. Okazuje się, że taka szeroka, plenerowa ekspozycja, to najlepsza forma reklamy. Ludzie się gają po pieniądzu. Chcą kupować, z miejsca kupować! Ekspedientki odprawiają ich z kwitkiem.

— Niech pan przyjdzie jutro do sklepu — mówi usłużnie jeden z nich i podaje adres. — Tu sprzedawać nie możemy, pan rozumie... po godzinie połana byłaby pusta, a przecież mamy stać aż do wieczora.

Przy Ogrodzie Zoologicznym jest centralny punkt festynu: dwa razy „Cepella”, dwa kiermasze książek, wystawa studenckich obrazów, zabawki, lody, punkty z gorącymi posiłkami i stoiska MHD, zaopatrz-

ne bardzo obficie w wędliny, konserwy, sery, pieczywo; na każdym kroku można napić się wody z sokiem, oranżady, ciemnego i jasnego piwa, po którym kilku odświeżenie ubranych chłopaków przysnęło grzecznie na skraju łąki, a jeden, to nawet położył się na trawie. Chyba po raz pierwszy w historii łódzkich festynów naprawdę było co jeść i pić — do samego zmierzchu.

— Nawet masło można dostać — mówiła z zachwytem jakaś pani.

W zaimprovizowanych kioskach „Ruchu” obok wszedobylskiego „Głosu” leżały również potężne sterty „Dziennika Łódzkiego”, „Kultury”, „Odgłosów”, „Życia Literackiego” oraz innych pism i tygodników. W ten sposób festyn stał się nie tylko pięknym światłem partyjnej gazety, ale prasy w ogóle.

W muszli koncertowej trwa non stop popis amatorskich zespołów artystycznych: od Chopina do Niemena. Tańce, śpiewy chóralne, nawet arie operowe, nucone w wdziękem przez samego dyrektora „Domu Kultury” im. Żojka. W krótkich przerwach konferansjer wypytuje uczestników koncertu:

— Czy czytacie „Głos”? Co wam się najbardziej podoba?

Odpowiedzi są różne. Dzieciaki chwają zgadywanie, starsi „Głosowe” interwencje. Dobra publicystyka, rzetelna informacja, dużo krajo-

wych i zagranicznych reportaży, odpowiednio wyważone proporcje pomiędzy sportem a kulturą.

Przypominam sobie w tym momencie czasy, kiedy to „Głos” zdobywał z trudem i dużym konsekwencją łódzki i wojewódzki rynek czytelnicy, zaufanie społeczeństwa... Jeszcze dziesięć lat temu ustępował pod względem nakładu innym łódzkim gazetom. Teraz nie tylko zdobył przy mat w Łodzi, ale wysunął się zdecydowanie na czoło polskich dzienników. W soboty wychodzi przecież w czterystu tysiącach egzemplarzy. W niedługim czasie osiągnie chyba pół miliona! Hasło „Głos Robotniczy” wszędzie z tobą” nie jest naszym sloganem. Można się o tym przekonać w poniedziałek i inne dni tygodnia, kiedy to pod kioskami już od szóstej rano ustawia się kolejka, a o ostatnie egzemplarze toczy się formalny bój.

4.

Przygotowanie tego festynu kosztowało nie tylko dużo pieniędzy, lecz także dużo ludzkiego wysiłku. Zmieszani z tłumem redaktorzy „Głosu” slaniali się ze zmezczenia na nogach. Przez ostatnie dni i tygodnie harowali po dwanaście i więcej godzin na dobę, zaangażowani całym sercem w sprawę organizacyjnej wielkiej imprezy. Dyrektorem — koordynatorem obchodów dwu-



„ZŁOTA PAPUGA”

Czy można napisać bań o współczesności? „Złota papuga” Artura Międzyrzeckiego daje na to pytanie odpowiedź twierdzącą. Myliłby się jednak ten, kto w książce widziałby tylko bań. Jest tu wprawdzie rozmowa z duchem, nieznane ludy, legenda o Atlantydzie, science fiction i postacie rodem z powieści Witkacego czy grotesek Gajczyńskiego, ale w końcu nie o zabawę chodzi.

Groteska — to słowo w przypadku „Złotej papugi” najwłaściwsze. Umiera zna komitose świata sztuki — reżyser, myśliciel i duch niespokojny, który chciał wszystkiego w życiu zakosztować i wszystkim mo dom ulegać — Franciszek Diabola-Diablołka. Grono jego wielbicieli i współpracowników podejmuje się rekonstrukcji zyciorysu „Wielkiego Denata”. Tak pomyślana fabuła, pełna nieoczekiwanych realiów stanowi doskonały pretekst dla drwiny ze współczesnych manil. Jest tu więc drwina z pogoni za nowością za wszelką cenę, drwina z panseksualizmu, uciekania się do dawnych, a często zapomnianych mitów, drwina z mitologizowania science fiction i pseudonaukowości.

Książka urzeka subtelnym, intelektualnym humorem i parodystycznym charakterem. Nie jest jednak lekturą łatwą. Warto jednak przebrnąć przez niektóre zawilosci tekstu, aby tym celniej i pełniej poznać walory całości. I nie należy szukać prawzorów, gdyż nie o karykatury osób tu chodzi, a o parodie postaw, choć na pewno można te lub inne tendencje przypisać konkretnym postaciom. Książka jest przecież ironiczną krytyką niektórych kierunków panujących we współczesnej kulturze, a mają one swoich nosicieli i wyznawców.

B.M.

A. Międzyrzecki — „Złota Papuga”, Czytelnik 1970, str. 324, cena 18 zł.

Przed pierwszym dzwonkiem

Dalszy ciąg ze str. 1

musi więc przejść w jakość. Nie ma innej alternatywy.

To właśnie skierowało uwagę i wysiłki Kuratorium na opracowanie i upowszechnienie nowych, lepszych — naszym zdaniem — bardziej efektywnych niż dotychczas, form nauczania i wychowania młodzieży w łódzkich szkołach.

— Czy Kuratorium ma już jakiś konkretnie sprecyzowany plan tych zamierzeń?

— Mamy już taki plan. Opracowaliśmy koncepcję perspektywnego, długofalowego rozwoju oświaty szkolnej w Łodzi w latach 1970 — 1975. Dotyczy ona zarówno zagadnień dydaktycznych, jak metodycznych i wychowawczych. Przeprowadziliśmy dokładną analizę całego dotychczasowego procesu nauczania i wychowania w szkołach podstawowych i średnich. Daliśmy do ujednoczenia systemu nauczania od I klasy szkoły podstawowej aż do matury. Nie chcemy żegnać naszych absolwentów za bramą szkoły: „Do widzenia, dalej radźcie sobie sami!”... Pragniemy ich przygotować nie tylko do zdania egzaminu na wyższe uczelnie, czy ewentualnie do podjęcia pracy, ale również tak ich ogólnie ukształtować, żeby się nie potknęli na pierwszym roku studiów uniwersyteckich. Temu też, między innymi, ma służyć wspomniany ujednoczony system nauczania w szkole. Mówię o tym oczywiście bardzo ogólnie.

Opracowanie tej koncepcji poprzedziły analizy, przeprowadzone przez Kuratorium, Okręgowy Ośrodek Metodyczny i Inspektoraty oświaty. Szukaliśmy odpowiedzi na pytanie: kiedy się zaczynają niepowodzenia w szkole, co jest ich przyczyną oraz w jaki sposób te przyczyny usunąć?

W toku analizy stwierdziliśmy, iż zjawisko niepowodzeń ujawnia się w I i II klasie szkoły podstawowej, następnie w klasach pierwszych szkół ponadpodstawowych i wreszcie na I i II roku studiów wyższych. Wiele jakas prawidłowość. Stwierdziliśmy dalej, iż spośród wielu różnych przyczyn, powodujących niepowodzenia szkolne ucznia, na czoło wysuwają się trzy zasadnicze: trudności adaptacyjne, niewłaściwe metody nauczania i wpływy środowiska. Po ustaleniu diagnozy przystąpiliśmy do usuwania niedomagań.

— W jaki sposób?

— Jest to działanie wielokierunkowe. W Łodzi już od kilku lat prowadzi się wcześniejsze zapisy dzieci do szkół podstawowych. To znaczy sześciolatków, na rok przed rozpoczęciem nauki. Wspomnę tu również, iż Łódź była pierwszym miastem w kraju, które wprowadziło tę formę zapisów. Otóż w roku szkolnym 1969/70 zapisy te rozpoczęliśmy w pa-

dzienniku ub. roku i przebadaliśmy pod kątem dojrzałości szkolnej około 96 procent wszystkich sześciolatków, które już od września tego roku rozpoczynają naukę. I co się okazało? Z owych 96 procent przebadanych, aż 25 procent dzieci wykazało niedojrzałość szkolną. Innymi słowy dzieci te nie są przystosowane do rozpoczęcia zajęć w szkole. Dążąc do stworzenia im równego startu do nauki w pierwszej klasie, już przed kilku laty powołaliśmy do życia tak zwane ogniska przedszkolne, w których znajdują się one pod specjalną opieką wychowawczyń przedszkoli. W roku szkolnym 69/70 okres opieki specjalnej nad tą grupą dzieci przedłużaliśmy z 3 miesięcy do pół roku. Duży procent tych dzieci powinien osiągnąć w tym czasie dojrzałość szkolną.

Ponadto w roku szkolnym 70/71 w I klasach szkół podstawowych, dla dzieci wykazujących jeszcze braki w przygotowaniu do dojrzałości szkolnej, powiększamy tzw. zajęcia wyrównawcze, w wymiarze od dwóch do czterech godzin tygodniowo. Będą się one odbywać poza lekcjami, w grupach po kilkoro dzieci. W tymże roku szkolnym zajęcia pozalekcyjne wprowadzimy do klas od I do IV włącznie. Zakładamy, iż dzięki tej formie opieki większość dzieci osiągnie jednolity poziom przeciętny oraz że ułatwi im to naukę w klasach wyższych.

Chcemy tu osiągnąć jeszcze jeden cel: w ramach pracy dydaktycznej będziemy obserwować dzieci, wybijające się ponad poziom przeciętny. Następnym ogniwem tego działania będzie dalsza opieka nad dziećmi uzdolnionymi, więc wybijającymi się ponad poziom przeciętny, w klasach od V do VIII. W tych klasach będą już wyławiani uczniowie z wyraznymi uzdolnieniami kierunkowymi. Najbardziej, po ukończeniu szkoły podstawowej, zgodnie ze swymi predyspozycjami, będą szli do określonych typów szkół ponadpodstawowych.

Jest to oczywiście skrótowny zarys. Poszczególnych ogniw tego łańcucha jest zbyt dużo, by każde móc omówić szerzej.

— Słyszałem, że w szkołach ponadpodstawowych mają powstać klasy specjalistyczne.

— Takie klasy już istnieją i będziemy je rozwijać. Na razie mamy klasy specjalistyczne z poszerzonym programem matematyki i języków obcych — angielskiego, rosyjskiego i francuskiego. W roku szkolnym 1970/71 powstana także klasa z poszerzonym programem fizyki, chemii i biologii, a w następnych latach dalsze, w zależności od tego, jak zadada egzamin już działające. Ogólnie rzecz ujmując dążymy do tego, aby w klasach od V do VIII szkół podstawowych przygotowywać uczniów do kontynuowania nauki kierunkowej w odpowiednich klasach specjalistycznych szkół średnich, ponadpodstawowych. Mniejszej ilości młodzieży z niżu demograficznego chcemy zapewnić możli-

wie najlepsze wykształcenie w szkołach podstawowych i średnich.

W roku szkolnym 70/71, tytułem eksperymentu, w niektórych szkołach podstawowych uruchomiliśmy koła naukowe. Będą one prowadzone przez młodzież szkół średnich, oczywiście pod opieką nauczycieli.

— Czy koła naukowe powstaną również w szkołach średnich?

— W niektórych szkołach średnich takie koła naukowe już działają od lutego bieżącego roku. Ich profil dydaktyczny jest — a będzie jeszcze bardziej — skorelowany z kierunkowymi uzdolnieniami uczniów. Od września tego roku ruszą one na pełnych obrotach i będą pod opieką kół naukowych wyższych uczelni łódzkich. Obok opieki w kołach, będziemy prowadzić zajęcia fakultatywne dla uczniów szkół średnich, aby możliwie najlepiej przygotować przyszłych maturzystów do studiów wyższych lub podjęcia pracy zawodowej.

— Z tego, co Pan powiedział, Panie Kuratorze, wynika, że nauczanie kierunkowe obejmie młodzież szkolną Łodzi, poczynając od V klasy szkoły podstawowej, a na ostatniej klasie szkoły średniej kończąc?

— Tak. Myślą przewodnią tych zamierzeń jest dążenie do niwelowania progów trudności w nauce, o które potykają się uczniowie zaraz na początku, przy przechodzeniu ze szkoły podstawowej do średniej i ze szkoły średniej na wyższą uczelnię. Są to owe pierwsze lata trudności i niepowodzeń w nauce, o których wspominałem już na początku naszej rozmowy. Będziemy konsekwentnie dążyć do wyeliminowania elementów przypadku w procesie kształcenia naszej młodzieży. Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że nie od razu i nie wszystko da się zrealizować w stu procentach. Sądymy jednak, że jest to właściwa droga do osiągnięcia zamierzonego celu.

— Panie Kuratorze, czy kadra nauczycielska jest przygotowana do wykonania tak szerokiego zamierzenia?

— Ogólnie rzecz biorąc — tak. Mamy dobrą pod względem fachowym i ofiarną kadra nauczycielską. To przecież w ostatecznym rachunku od niej zależy powodzenie tych zamierzeń. Wiemy, że naszym pedagogom leży na sercu sprawa wykształcenia i wychowania młodzieży na wartościowych obywateli nowoczesnego socjalistycznego państwa. Jednakże stałe podnoszenie kwalifikacji jest nieodwrotne, nie tylko zresztą w zawodzie nauczycielskim. Dlatego też łącznie z opracowanym planem podnoszenia poziomu nauczania w szkołach, Kuratorium wprowadziło nowy system dalszego podnoszenia kwalifikacji zawodowych nauczycieli. Raz na pięć lat każdy nauczyciel szkoły podstawowej i średniej w Łodzi przechodzi kurs specjalistyczny w Okręgowym Ośrodku Metodycznym, na którym uzupełnia i aktualizuje swoją wiedzę w zakresie dydaktyki i metodyki nauczania.

— Ta ogólna koncepcja planu podnoszenia poziomu nauczania uwzględniła z pewnością elementy wychowawcze. Czy zechciałby Pan powiedzieć kilka słów na ten temat?

— Jednym z głównych zamierzeń Kuratorium w tym zakresie jest wytworzenie wśród uczniów atmosfery zainteresowania nauką i wynikami w nauce. Dążąc do tego celu, już w tym roku szkolnym, Kuratorium ogłosiło konkurs, który — w drodze eliminacji — wyłonił najlepszego ucznia, najpierw klasy, następnie szkoły, później wszystkich szkół dzielnicy i wreszcie miasta.

Wszyscy zwycięzcy poszczególnych etapów konkursu otrzymali specjalne dyplomy, a mistrz Łodzi — medal olimpijski w dniu święta sportu, w czerwcu tego roku, na równi z wyróżnionymi mistrzami sportu szkolnego. Nie wdając się w szczegóły regulaminu konkursu wspomnę tylko, iż kryteria mistrzowskie obejmują nie tylko piątki, lecz również takie konkurencje, jak koleżeństwo, udział w pracach społecznych, w pracy organizacyjnej młodzieżowych, wyniki w sporcie itp... Chodzi tutaj o wszechstronną sylwetkę ucznia, o stworzenie modelu wzorowego ucznia.

— Reasumując: poszczególne kierunki działania w tym planie maksimum są podporządkowane celowi nadrzędnemu — wychować młodzież wartościową pod każdym względem.

— Tak, i jeszcze raz — tak. Oczywiście zdajemy sobie sprawę, iż w toku praktycznego kształtowania tej idei należy działać elastycznie, że, być może, z tych lub innych zamierzeń trzeba będzie się wycofać i rozważyć inne. Dziecko jest przecież organizmem żywym.

— Czy Kuratorium ma wystarczające środki finansowe na wykonanie planu?

— Tak. Mamy duże zasoby pieniężne. Obok dotacji Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi, otrzymujemy również około 25 milionów złotych rocznie na pomoc szkolne ze Społecznego Funduszu Budowy Szkół i Internatów. Jesteśmy zdania, że tych pieniędzy społecznych nie należy rozdrabniać. Wychodząc z tego założenia Kuratorium postanowiło, iż co roku, we wszystkich szkołach ponadpodstawowych będzie się uruchamiać różnego rodzaju pracownie naukowe. Będziemy to robić kompleksowo, we wszystkich szkołach równocześnie. W roku 1970 wszystkie szkoły średnie otrzymają najnowocześniejsze pracownie języków obcych. W 1971 roku — pracownie języka polskiego, a w następnych latach — matematyki i fizyki. Sporo szkół w Łodzi ma już takie pracownie dzięki pomocy i staraniom komitetów rodzicielskich. Będą one jednak modernizowane. Pozostałe szkoły otrzymają nowoczesne pracownie. Takie właśnie najnowocześniejsze pracownie języków obcych uruchomiliśmy już w Okręgowym Ośrodku Metodycznym oraz w XIII i XXVI liceach ogólnokształcących. Wszystkie trzy różnią się między sobą w detalach. Po kilku miesiącach obserwacji wybierzemy najbardziej sprawny model i ten typ pracowni otrzymają wszystkie szkoły.

Niezależnie od tego, zgodnie z pięcioletnim planem wyposażenia szkół w pomoce naukowe, otrzymają one uzupełnienia pieniężne na zakupienie potrzebnych pomocy szkolnych.

— Te wielostronne zamierzenia Kuratorium wymagają długofalowego działania i wydadzą owoce po upływie paru lat. Sądę jednak, że badanie i analiza kolejnych etapów tego działania będą się odbywać na bieżąco. Czy Kuratorium ma już jakieś wstępne wyniki swej pracy?

— Nie, takich wyników jeszcze nie mamy, aczkolwiek poczyniliśmy już pewne obserwacje. Zbieranie materiału badawczego i jego uważna analiza oraz sprecyzowanie wstępnych wniosków jest pracą trudną, skomplikowaną i odpowiedzialną. Na razie mogę powiedzieć tylko tyle, że już w przyszłym roku szkolnym Kuratorium podejmie tę pracę na szeroka skalę.

— Pozostaje nam tylko życzyć pomyślnych wyników w realizacji tych szeroko zamierzonych.

Rozmawiał:

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

dziesięciolecia „Głosu” był znany dziennikarz sportowy, wytrawny znawca zagadnień piłkarskich — Władysław Lachowicz, człowiek o dużej fantazji, niespożytej energii i zaskakujących, śmiałych pomysłach, z których zrealizowano tylko część, ale pozostała została, być może, zrealizowana w przyszłości.

— Wydaje mi się — mówi red. Lachowicz — że festyn mógłby wejść w tradycję Łodzi jako doroczne święto. Ludziom potrzebna jest rozrywka na świeżym powietrzu. Gdyby odpowiednio pokierować sprawami handlu i kultury — park na Zdrowiu, a także inne parki w mieście mogłyby w każdą niedzielę, w każdy pogodny, wolny od pracy dzień „wyciągać” z domu na kilka długich godzin kilkaset tysięcy łodzian. Dowiodło tego niezbić nasze „Głosowe” święto: — zieleń oraz sport i kultura w tym najbar dziej masowym, szerokim wydaniu, to wielki magnes, o ile, rzecz jasna, jest się przy okazji czego napić, coś zjeść. Nie zaszkodziłoby także pomysłu o wzbogaceniu przynajmniej jednego naszego parku o wesołe miasteczko, tak, aby dzieciaki nie ziewały z nudów z chwilą, kiedy kończą się dla nich wycieczki kolarskie, aby przestały tarasować rekawy rodziców z prośbą o powrót do domu, gdzie w dusznym pokoju czeka telewizor. Współorganizując festyn „Głosu” rozmawiałem z wieloma ludźmi i wiem jedno: bardzo

mało ciężko pracujących, żyjących w trudnym klimacie obywateli ma ochotę inwestować energię i kilkadziesiąt, albo nawet sto kilkadziesiąt złotych w niedzielny, rodzinny przejazd autobusem do Sulejowa, Spały czy Arkadii. Każdy natomiast — choćby jego rodzina liczyła dziesięć osób — może sobie pozwolić na długi spacer albo przejazd tramwajem do parku, gdzie przy odpowiednio zorganizowanej rozrywce znajdzie zaskonny odpoczynek...

Trudno nie zgodzić się z sugestią mi Władysława Lachowicza. Zresztą sugestie te w pełni popierają inni redaktorzy „Głosu”, którzy w zorganizowanie jubileuszu swojej (i Twojej gazety) włożyli dużo wysiłku. Pod czujnym okiem redaktora naczelnego — Sergiusza Kluczkowa, który osobiście nadzorował niektóre plenerowe imprezy, pracował ofiarnie cały sztab — zastępcy naczelnego redaktora: Tulko i Pogorzalec, sekretarz redakcji — Kotlarek oraz inni znani reporterzy i publicyści, jak red. red.: Walenda, Pawlak, Lewaszkiewicz, Sroczyński, Wróbel, Palka, Wójcicki, Skonieczny. Zasadki, Batorowicz, Zespół „Głosu Robotniczego” — największy spośród łódzkich gazet — liczy ponad czterdziestu dziennikarzy. Czy należy stać wysnuć wniosek, że podczas, gdy jedni organizowali w poście czoła jubileusz — inni przyglądali się temu z założonymi rękami? Skąd! Trzeba było przecież z dnia na

dzień redagować gazetę. I to dobrze redagować, tak, żeby w okresie jubileuszu utrzymać ogromny nakład i wysoką jakość publikowanych materiałów. Przyczynili się do tego: nie stor łódzkiego dziennikarstwa, Henryk Rudnicki, Halina Batorowiczowa, red. red.: Pilichowski, Strzepiek, Filanowicz, Kwieciński, Koniński, Karbowiak, Gromiec oraz wielu innych znanych dziennikarzy, a także drukarzy — których ofiarna, ciężka i piękna praca też w poważnym stopniu składa się na dzisiejsze sukcesy popularnego partyjnego dziennika.

Na obydwu przeniesionych w ostatniej chwili do Hali Sportowej koncertach sala wypełniona była po brzegi kilkunastotysięcznym tłumem. Nic dziwnego: wiele sławnych nazwisk w programie, a wstęp za darmo.

Ludzie bawili się znakomicie i szczerze chwaliли piękną inicjatywę „Głosu”.

Zresztą — nie na Zdrowiu i nie w Hali Sportowej kończyły się emocje. W parku Staromiejskim też było na co popatrzeć i czego posłuchać. Tam właśnie w chwilach, gdy na stadionie LKS toczył się mecz z Hutnikiem, zakończony fatalnym

remisem (Sadek — graj dalej! Szanse jeszcze są!) tam właśnie pirotechniczna ekipa z Knurowa dała mistrzowski, barwny pokaz ogni sztucznych, zamieniających niebo nad miastem w obrzymą karnawałową pochodnię. Tam właśnie w go dzinach wieczorowych wrzósł najbardziej popyt na wyprodukowane przez „Uniwersal” czapeczki z nadrukiem: „Głos Robotniczy”.

— Czapki te rozdawał mi grati-sowo — mówi redaktor Pogorzalec. — Było ich około czterech tysięcy. Według mojego rozeznania — o jakieś trzysta tysięcy za mało. Już na Zdrowiu po południu było wielu chętnych, żeby odkupić taką czapeczkę za pięćdziesiąt złotych, a przecież nawet mali chłopcy nie dali się skusić tej sumie. W parku Staromiejskim ceny podskoczyły do sześćdziesięciu złotych. Posiadanie czapki „Głosu” stało się dla niektórych szczytem ambicji.

Kiedy po skończonej imprezie trzeba było wspiąć się na drzewa i pościagać niektóre festynowe urządzenia i ozdoby, zgłosiło się do Władysława Lachowicza kilku usmotrucanych, zwinnych malców, mówiąc, że są gotowi na każdą wspinaczkę, byleby tylko dostać taką czapkę.

— W porządku — zgodził się Lachowicz. — Biercie się do roboty, a jutro w południe przyjdziecie do

Klubu Dziennikarza i każdy otrzyma nowiutką czapeczkę.

Przyszli nazajutrz, jakże odmienieni, w czystych wyprasowanych koszulach i gładko przyczesanych włosach. Rozglądali się z nieśmiałością na kawośćką po czcigodnych ścianach Klubu, gdzie czynna jest jeszcze dzisiaj „Głosowa” wystawa.

Lachowicz dotrzymał słowa. Obdarował chłopaków sówicę. A potem ruszył do swoich organizacyjnych spraw, bo przecież święto „Głosu” wciąż trwa...

W chwili, kiedy zsyłam ten raport do druku, w piątek, dziewiętnastego czerwca — największe emocje są jeszcze przed czytelnikami „Głosu”.

Wieczorem w Teatrze Wielkim odbędzie się galowy koncert, podczas którego ktoś (na pewno nie ja) za dziesięć złotych wygra „flata” a ktoś inny „skode”. A jeszcze inni powy grywają telewizory, radioodbiorniki, lodówki, pralki i wiele innych cennych przedmiotów.

W sobotę koncert zostanie powtórzony. I to jak! Przyjdzie wóz transmisyjny. Człowiek polski operator, Wójtek Król, stanie za swoją niezawodną kamerą i przekaże program na całą Polskę. Ba! Przecież włączy się interwizja i ostatni akord „Głosowego” święta zobaczy pół Europy.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Tryptyk makabryczny

1.

Wspominając Hieronima Boscha

Siedem oczu trawy. Kępka drzew, której front stanowi uschnięty pień (może to są resztki rachitycznego wiazu, może kasztanu, może spróchniałej wierzy), w jego dziupli ptak mądrości: so wa.

Ale gdy oglądałeś reprodukcję szkicu ołówkowego tego malarza do kilkudziesięciu kalek w przeróżnych pozycjach, lub inny: z potworami, pod którymi mogłoby się podpisać obiema rękami Bolesław Leśmian, Linke, Schulz, to wiesz, że ten puhać jest ptakiem grozy i niesamowitej groteski.

Z obu stron kępki drzew zwracają się ku tobie uszy ludzkie.

To uplastyczniona myśl.

Podobnie na obrazie **Sroczka na szubienicy** Breughel namalował przysowie. Na tym samym mało widłe flamandzcy chłopcy, chwyciwszy się za ręce, tańczą na szubienicznym wzgórzku, podczas gdy kucający pod krzakiem mężczyzna zaiatwia grubą potrzebę.

Szkic Boscha w francuskiej książeczce wydanej przez Bibliotekę Marabout Université nosi nazwę **Les arbres, qui ecoutent, et le pres, qui regarde**. Po polsku: **Drzewa nasłuchują, trawa cię śle dzi.**

Inny szkic Boscha.

Człowiek z ostrogami i w drewniakach dziurawi swą postacią łądz. Głowę człowieka przesywa maszt, na którego szczycie bocianie gniazdo.



Podrzynanie gardła. Fragment paneau centralnego — poliptyku Hieronima Boscha „Fura siana”.

Z jednej strony szkicu wspina się po linie ogoniasta poczwara, zaś po drągu masztu wdrapuje się inna maskara. Z lewej strony łodzi zwiisa z dziobu nagi człowiek... Nie dość, że jest on powieszony, to jeszcze przeszyty strzałą... Z burty zwieszają się nogi innego nagiego, chyba jeszcze żywego. On tułowiem jest zanurzony w wnętrzu łodzi, z którego buchają płomienie.

Ten szkic wiszący na ścianie wiedeńskiego muzeum posłużył Boschowi do stworzenia obrazu **La nef de fous: Barka szaleńców**.

Poliptyk **Char de foin — Fura siana**.

W centralnej części tego wieloobrazu oblatują się podochociona para. Podgląda tę parę osoba o grubych rysach twarzy. Tuż przed kochankami erotyczna idylla: grający na gitarze elegant, z nogami przelożonymi przez suknię siedzącej panienki, i chłopiec wzdający palcem po nutach.

Nieco niżej, na tle wozu z słaniem, pomiędzy kołami trwa ponura mordownia. Do niej motyłów dostarczyli malarzowi władający w tych czasach Niderlandami krwawi Hiszpanie,



Autoportret Hieronima Boscha. Rysunek z Kodeksu Utrechckiego.

Okropniejszymi od widoku zaryznanego leżącego człowieka, na którym mordujący usiadł okrzakiem, mogą być tylko reprodukcje:

Goyi **Rozstrzelanie powstańców** oraz fotografii Niemca w helmie, rozstrzelującego matkę z dzieckiem.

A jeszcze okropniejszym: zdjęcie z ulic Warszawy, na którym mężczyźni z ustami otwartymi z przerażenia i z rękami przykurczonymi patrzą w lufy skierowanych ku sobie hitlerowskich karabinów egzekucyjnych.

Prawa i lewa część poliptyku to wygnanie Adama i Ewy oraz piekło. Takiego inferna nie namalował żaden malarz. Ani przed Boschem, ani po nim. Diabły z miniatur średniowiecznych, z falusami ogierów wywinętymi ku świętym pannom, śmiesznością są wobec tego koszmara.

Na ostatnim planie pionu mury. Ten ostatni plan prawej części poliptyku, z muzeum Prado w Madrycie: groźny, lecz wspaniały pejzaż chmur, dymu, ognia, kruszącego się muru nieraz zapewne widywał ów malarz, **Hieronimus Aquen alias Bosch insignis pictor**, żyjący w czasach Habsburga, Fili pa Samodzierzy, władającego Niderlandami; projektanta Escorialu, posępnego jak twierdza petropawłowska. W celi tego pałacu-klasztoru, patrząc na obraz Boscha **Siedem grzechów głównych**, skonał twórca wielkiej armady, wujający inkwizytor i koronowany kat.

Najokropniejszą postacią tego obrazu jest ta, co wjeżdża na ociekającym krwią wole do wrót piekła; poza tymi dzwierzami nie ma żadnej nadziei dla tych, co przez nie przeszli. Potępieniec jest nagi, przebity dzidą, w helmie i ze złotym kielichem w dłoni. Innemu leżącemu żaba usiadła na genitaliach.

Okropniejszy jednak był widok trupów, gdy piecowy krematorium zaziarał przez mikrowy zizer, aby przyjrzeć się zwłokom ludzkim trzaskającym w ogniu jak kasztany.

Dowóz ciał ludzkich do drzwiczek tego ziemskiego piekła nazywał się „transportem na Himmelkommando”. Tak nazywali ten akt ci, co musieli chyba trafić na „Teufelkommando”.

Inny obraz tego średniowiecznego sadysty: **Ogród rozkoszy**.

Nagi mężczyzna podaje nagiej kobiecie poziomkę wielkości dyni. Poziomki tych rozmiarów zwiadują się w majaczeniach i snach tylko schizofrenikom.

Z tej samej części obrazu patrzy na ciebie sowa. Ona też nie jest ptakiem bogini Ateny, lecz — grozy. Z ogromnego piasiego jaja wylania się nagi mężczyzna, aby pocałować w usta innego gołasa. W wodzie stoją piękne niewiasty. Uformowane są w trzy grupy. Jedna: z czerwonymi owocami na głowach. Te kobiety okrąża kawalkada nagiich jeźdźców. Jadą oni na koniach, jeleniach,

półptakach, półpsach. Jeden wierz chowiec przypomina trochę tygrysa namalowanego przez celnika Rousseau.

Kuszenie świętego Antoniego.

Laik i mnisi przeprowadzają przez mostek na wpół omdlałego świętego. W dali motywy powtórzone później przez Breughela: ryba w rybiej paszczy. Święty jest zdruzgotany. Albowiem demon przemienił mu pustelnię w dom publiczny. Ten sam święty niesiony w powietrzu przez diabła, który jest wszystkim: piazem, gackiem. Na powietrznej łodzi nagus odwrócony ku świętemu zadkiem.

Te wszystkie rojenia Boscha, prekursora nadrealizmu, **Płonącej żyrafy** Salvadora Dali, freudyzmu, psychoanalizy tłoczą się w twej wyobraźni, gdy patrzysz na inną mordownię: polską, w katedrze w Sandomierzu.

Z obrazów, którymi obwieszono ściany Domu Pańskiego, świętym pannom rzyga krew z oderniętych piersi, chlusta fontannami z kadłubów bez głów. Obrazy te ilustrują martyrologię chrześcijan mordowanych przez pogan. Na każdej postaci umieszczono numer. Znakuje on imię świętego lub świętej przypadające na ten lub ów dzień.

Cały ten rzeźniczy ciąg, wiszący na ścianach katedry, jest serią komiksowych kiczów, gdy każdy obraz Boscha, nawet ten najbardziej koszmarny: z okiem w malowanym jak do atlasu anatomicznego i jaszczurką wylazłą z wnętrza gałki ocznej, jest dziełem sztuki.

2.

Panterze do imionnika

Ta czarna jedwabista pantera o lasiej płynności ruchów. To nie zbanalizowany przez cyrki i herby wielu państw lew o sierści płowej jak mydło do prania. To zwinną, pełną falistego wdzięku wabliwa dziewczyna w połyskliwym czarnym futrze. Dawni Grecy w swych religijno-poetyckich wyobrażeniach spowijali panterę w girlandy róż. Oni znali smak piękna.

Gdy pantera wylewa się z wybiegu do klatki, bo to stworzenie nie idzie, lecz płynie, oczy wszystkich zwracają się ku temu, nad podziw rozrośniętemu czarnulokowi: kotkowi. Każdy chciałby pogłaskać tę jedwabistą sierść, posłuchać laszącego się pomrukiwania lub miauczenia.

Za chwilę pantera zwinie się w kłębek w kącie klatki.

Albowiem nie jest głodna. Przed kwadransem podrzucono jej na deser młodego królika. Bawiła się nim jak kot złowioną myszką: podrzucając go, to przygarniając łapką, póki nie zamienił się w krwawą, bezwładną miążgę. Wów



Fragment z „Siedmiu grzechów głównych”.

czas była groźna jak anakonda. Wreszcie wykonała łapą gest obrzydzenia. Znudzila jej się ta zabawa.

Zapewne wolałaby inny przysmak: kozłatko schwytań u wodopaju. O zmierzchu, gdy po drugiej stronie rzeki małe antylopy pod opieką swych matek sycą swe pragnienie, daleko zaś we wsi rozlega się miękki głos tamtamu, jak orkiestralnego kotła, trącanego przez solistę pałką z filcu. Zaczyna wtedy śpiewać żywe ludzkie mięso do wtóru wydrą żonego drewna.

HENRYK HARTENBERG

Jestem drzewem

Szukałem cię tam gdzie nie chodzi już nikt —
Tam gdzie wyobraźnia ściera się z wołaniem ptaków —
Szukałem cię na granicy oczekiwania i butwiejącego czasu —

Tam gdzie rozsypane zgłoski czekają na wezwanie
Twoich rąk —

Jestem drzewem które rzuca cię na drogę —

Spotkałem cię na progu ocalenia i chwiejności bryli —
Tam gdzie wielostronna noc przypomina serce
Które gwałtownie zabiło —
Spotkałem cię na skrzyżowaniu niemych ulic —
Samotnych rzek i nietrwających obrazów —
Tam gdzie południe określa miarę życia i śmierci —

Jestem drzewem które zbiera okruchy słońca krople ciszy
I odpryski wieków —

Czekałem na ciebie tam —

Gdzie w żrenicy dnia zastygła nawałnica ryb
Muszli i ślepych krabów —

Tam gdzie żyje prawo twoich oczu w których zachował się
Pierwszy dzień wiosny i ostatni dzień jesieni —
Tam gdzie fala oceanu zachowała ślady różowych stóp —
Gdzie bursztyn posiada kształt owocu
Nasłonecznionego twoim białym czołem —

Jestem drzewem w które wplątał się wiatr —

Teraz chce się jej spać. Zwinęta, spogląda ku tobie oczami bez żrenicy. Żółtawo-maślankowaty mi oczami schizofrenika. Mnie-masz, że ona ciebie nie widzi, po nieważ spojrzenie ma zwrócone do wewnątrz. Jak buddysta, który oczy ma otwarte, lecz dostrzeże ga tylko to, co jest w nim. Lecz ona lepiej widzi od najprzedszymszej myśliwskiej lornety, ty buklaku słodkiej, czerwonej, pieniącej się krwi.

Gdyby nie krata i rów pełen wody, to by ta lasico-kotka rozplaszczyla się, wyszczerzyła ząbki. Wtedy wszyscy poczęlibyście się cofać. Ale ona by was dosięgła. I przystąpiła do rozszarpywania waszych ciał.

Nie z głodu! Dla zabawy w mord. L'art pour l'art!

Podobnie artysta wojennej sztuki, dla którego wszelkie hasła sztandarów stały się znakami bez treści. Jedyne znaczenie ma dla niego ucieczka spłoszonej ciżby, zwalanie z kolan miast i wsi. Najpiękniejszy krajobraz dla jego oka, to pachnący spalenizną rozwietlany pożoga, raketami — i pogruchołoty...

Jeszcze nie zliczono ilości zwłok i rozbitych czołgów oraz strąco-

ta wolność zadośćuczynienia instynktom.

Ech! Podejść by do ciebie, jedwabista pantero, selskinowa marżkizo de Sade...

I przybić cię do piasku włócznią albo rozpiatać koncerzem!

Tyle jest na ciebie sposobów, a ty wciąż żywa.

3.

Salus rei humanae suprema lex

Nie masz większej radości nad tę, jaką nas rozgrzewa na widok pobitego psychicznie wroga. Chociaż jeszcze nie doszło do ostatecznej z nim rozprawy, komandosi nie rozpoczęli żadnej wstępnej dywersji, wszystkie punkty węzłowe i zaplony niewralgiczne nie są nawet zaznaczone na mapach sztabowych, jeśli są, to tylko w celu zmylenia szpiegów: teoretycy, wieszczkowie meteorologiczni albo snują baśnie, albo opracowali zaledwie robocze, ćwiczebne konspekty działań; walki lądowe, morskie, powietrzne, podziemne i międzygwiazdne to na razie szkice na brudno; wszelka gadanina o tajemniczych broniach A, B, C, D, to zimnowojenne koszałki-opalki; to „mowa-trawa”.

Dopiero gdzieś o godzinie X, gdy naczelny podniesie swą buławę, może się rozpocząć zwycięska obrona-rzeź; zaczną się rozlegać ponure, lecz konieczne wstępne takty dzięki uwertury wybuchów; miasta wywracać, rzeki i morza płonać — jeszcze nie czas sposobny.

A już nasz wróg jest powalony psychicznie na oba kolana. Oto kroczy na nich, przepelniony uczuciami trwogi i beznadziei; szyć i rece ma spletane niewolniczymi dybami.

Czołga się w przecuciu swej katastrofy ku stopniom Przeznaczenia. Serce bije mu głośno, coraz głośnie; słyszy jego łomot jak tołubasus; bije mu przedko, przedko, coraz prędzej, coraz ostrzej — jak warkot wojennego werbla.

Aż wreszcie wypowie mu służbę w połowie schodów, zasłanych potrzaskanymi sztandarami.

Jeszcze żadna broń konwencjonalna, nie oznaczona kryptonimami, nie została wyjęta nawet do ewierś pochew, nie oddano pierwszego strzału, a już rozlega się wojenne hallali rogów. Zaalarmowani inni trębacze obrębiają następną sesję Trybunału.

Victores clamant!
Salus rei humanae suprema lex esto!... Vaece, vaece! Śmierć panterom!

(Z przygotowywanego dla „Czytelnika” tomu prozy liryczno-ironicznej „W krainie majaczeń. Groteski”.)



Po wielu latach żmudnych robót konserwatorskich oddano do użytku „Mały Wawel” — piotrkowski zamek królewski.
Fot. T. DZIKOWSKI

Jedni gotowi szczerze się biegać Maszewskim, przedwojennym olimpijczykiem, który w randze kapitana zginął w czasie drugiej wojny światowej we Włoszech, zapaśnikiem, także olimpijczykiem Kwiecińskim, bokserem Ku backim, czy Teresą Nowakową — znaną dziś plotkarką, znaną w Piotrkowie jako Gierczakówna. Inni sięgają po reprezentantów kultury bez dodatku „fizyczna”. Więc powiadają: Marceli Nencki, bo on to do piotrkowskiego gimnazjum uczęszczał, powiadają: Stanisław Konarski — reformator polskiej oświaty. Ba, ten i ów na odpowiedzialność miejscowego historyka-amatora twierdzi nawet, że tu, na Sejmnie, zapoczątkowano polski język parlamentarny, bo po raz pierwszy nie po łacinie, a po polsku przemówił miał w Piotrkowie Mikołaj Rej z Nagłowic...

Aktualia kultury piotrkowskiej, bez „fizycznej”, choć o osoby fizyczne nie chodzi — to Seweryna Szmagłowska, Leopold Lewin (ur. w Piotrkowie w 1910 r.), prusowski Wokulski, przepraszam, chodzi o rodowitego piotrkowianina, znakomitego aktora Mariusza Dmochowskiego...

Po co ta lektura: kultura — to ci a ci, kultura fizyczna — znów inni? Czy nie można stwierdzić, że i jeden i drugi są dumą 750-letniego Piotrkowa Trybunalskiego?

Rozdźwięk zrodziło zjawisko na pewno niekorzystne, ale niestety, socjologicznie potwierdzone. W Piotrkowie dawano ostatnimi laty pierwszeństwo kulturze fizycznej i do instytucjonalnie. Racja, że w pierwszym okresie dzwigniana mas do poziomu współgospodarza łatwiejsza to forma... duchowej integracji wokół klubu sportowego, który się pnie w hierarchii klas i ligi. Racja to jednak nie powinna być przyjmowana jako stała dyrektywa. Z czasem winno to być tak, jak w miejscowej gazecie: jeśli o problemach kultury na stronie szóstej, to

tym roku lista nagrodzonych działaczy, przybył kolejny piotrkowski Zasłużony Działacz Kultury — długoletnia kierowniczka Miejskiej Biblioteki Publicznej, Alicja Kowalska.

Ostatnie lata, charakteryzujące się sporą liczbą udanych inicjatyw kulturalnych, przyniosły — jak to określił sekretarz propagandy KMIP PZPR, Lucjan Reczek — wyjście piotrkowskiej kultury „spod klozza”, a wraz z tym — dostrzeżenie wielu jeszcze kulturalnych niedostatków. Wzmogły te ożywcze tendencje uchwały partii, uzasadniające potrzebę i to na co dzień, jednoci pomiędzy sferą produkcji materialnej a sferą kultury.

Były więc sesje naukowe: z okazji 750-lecia miasta, z okazji 25 rocznicy władzy ludowej na Ziemi Piotrkowskiej, w 30-lecie Września. Po staraniu się o publikację albumu „Piotrków Trybunalski”, który chociaż solidny wydawniczo, odstrasza wysokością ceny (140 zł).

Na jesieni 1989 roku, z inicjatywy

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI

Piotrków i kultura

o problemach kultury fizycznej, sportu — na ósmej...

Miejscowi powiadają: mamy Dom Nauczyciela — jeden z najpiękniejszych obiektów kultury w kraju. I to prawda, kilka lat temu go nie było. Mamy wyróżniający się w skali wojewódzkiej tak lokalowo, jak i działającą organizatorską i instruktażową Dom Kultury, który jeszcze kilka lat temu był starą budą. Mamy urzekającą architektonicznie Miejską Bibliotekę Publiczną, która jeszcze trzy lata temu była... ruiną zniszczonej przez okupanta synagogi. W tym roku, po wielu latach żmudnych robót konserwatorskich oddano do użytku muzeum regionalne „Mały Wawel” — zamek królewski, który wrócił do świetności z czasów Jagiellonów i dziś cieszy się ogromnym powodzeniem zwiedzających.

Jest baza do działalności kulturalnej, a co równie, a raczej bardziej ważne, są działacze kultury, którzy nie zmieścili się w tym roku w malej sali Domu Kultury i trzeba było spotkanie z okazji Dnia Działacza Kultury przenieść do pakownej sali widowiskowej. Długa była w

i sumptem Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa” ekipa studentów UL pod kierownictwem mgr Elżbiety Stefanowskiej i mgr Lechosława Dembowskiego, a pod naukowym patronatem prof. dr Antoniny Kłoskowskiej, przeprowadziła w Piotrkowie badania socjologiczne. Badania nad stanem czytelnictwa prasy połączone z badaniami nad stanem kultury piotrkowian i trzeba powiedzieć, że były to pierwsze systematyczne badania z tego zakresu. Pytano o sprawę co setnego dorosłego obywatela miasta i — jak wykazała 300-osobowa próbka — to, co o stanie kultury myślał piotrkowianin nie zawsze zgadzało się z tym, co o niej myślał... działacz kultury.

96 proc. mieszkańców Piotrkowa korzysta z prasy, co świadczy, że prasa jest tu najbardziej demokratycznie rozdzielanym dobrem kultury. 94 proc. piotrkowian zadeklarowało się jako czytelnicy „Głosu Robotniczego”, 85 proc. czytelnicy „Gazety Ziemi Piotrkowskiej”. Z TV korzysta 92,5 proc. piotrkowian, z kina 86,5, a z teatru 65 procent.

Teatr. Właśnie jego brak w Piotrkowie wysuwa się jako główny nie-

doświadczenia ostatniego dziesięciolecia wykazują — powiada pan Jankowski — że w Piotrkowie w ciągu roku wszystkie widowiska wystawiane na scenie Domu Kultury, ogląda 20—25 tys. widzów, co stanowi jedną trzecią piotrkowian, a nie jak to „oni o sobie mówią” — 65 proc. W 50 proc. są to widowiska estradowe, a i wlicza się do tej liczby widowiska teatrów lalkowych. Warto także wiedzieć, że połowa spektakli Teatru Ziemi Łódzkiej, teatrów z Częstochowy, Kalisza, a nawet Teatru Jaracza w Łodzi, nie doszłaby do skutku, gdyby nie zakup biletów przez zakłady pracy...

I tak oto rodzi się zwątpienie w rzeczywiste poczucie potrzeby własnego teatru przez piotrkowian. Tak wkrada się wiara w snobistyczną deklaratywność „teatromanów” — nawet jeśli się zważy, że kierownik piotrkowskiego Domu Kultury nie dysponuje liczbą piotrkowian korzystających z teatrów w pobliskiej Łodzi, czy nie tak znowu dalekiej Warszawie.

Władze wojewódzkie, znawcy profesji kulturalno-oświatowych, wysoko oceniają działalność Domu Kultury, Domu Nauczyciela, Miejskiej Biblioteki Publicznej. A czego dowodzą badania? Ze zaledwie 1 proc. (słownie: jeden proc.) piotrkowian uważa, iż biblioteki mają istotny wpływ na kulturę miasta. Około 21 proc. stwierdza, że miejskie placówki kultury mają istotny wpływ na piotrkowską kulturę, około 20 proc., że organizacja młodzieżowa.

Z wysoka stosunkowo oceną spotkała się organizatorska działalność na rzecz kultury ze strony zakładów przemysłowych, co aż wprawiło w zdumienie znających się na kulturze piotrkowian. Okazuje się, że zafundowanie biletów do teatru, czy kina, zorganizowanie wycieczki na grzybobranie, a także dorocznej akademii „z okazji” wypracowało ten prestiż, realistycznie biorąc, prestiż na kredyt. Tymczasem trzeba zarzucić piotrkowskiemu zakładom przemysłowym brak dbałości o pozyskiwanie kadry z fachową wiedzą i inicjatywą — wodzirejów kulturalnej zabawy, organizatorów nietuzinko-

wych Konkursów, ludzi umiejących określić o czym też zalogą, czy jej część chętnie by podyskutowała. Mimo postulatów, mimo uchwał rady narodowej, nie posunięto na przód organizacji dzielnicowych placówek pracy kulturalnej w robotniczych dzielnicach: na Bugaju, gdzie znajdują się Zakłady Dzierwiarskie im. M. Nowotki i Fabryki Mebli, w północno-zachodniej dzielnicy hut szkła „Hortensji” i „Kary” oraz w południowej dzielnicy gdzie są: Fabryka Sklejek i Huta „Feniks”...

Żeby się ostatecznie rozliczyć z kompleksem prowincji, w większości urojonym, warto jeszcze słów kilka o ludziach, w istocie z marginesu, którym czasami i dziś jeszcze udaje się „strugać proroków”, chociaż w niewielkich przeciw środowiskach rzadko się jest prorokiem między swoimi.

Jakie jest imię proroka kompleksu prowincji? Kto się za nim kryje? Jest to może znakomity inżynier od lewnik z Fabryki Maszyn Górniczych „PIOMA”, zbierający nagrody mistrz od hortopalu z „Hortensji”, czy może wykładowca Studium Nauczycielskiego z tytułem doktora filologii polskiej, historii, czy pedagogiki (jest już w mieście trzech doktorów nauk humanistycznych, gdy dwa lata temu nie było jeszcze ani jednego, a dalsi się doktoryzują, żeby była kadra, kiedy powstanie Wyższa Szkoła Nauczycielska)? Prorok kompleksu może mieć, a jakże, siedem klas przedwojennego powstania, a może trochę szkoły średniej! Prorok, osądający wszystkich co miejscowe na nie, więc placówki kulturalne, autentyczną wiedzę i społecznikowskie inicjatywy mądrych ludzi, nie musi wcale za liczać się do owych 94 procent starych czytelników „Głosu Robotniczego”, do tych korzystających z książek, czy teatru. Wystarczy, że wczorajszy wytwórca spinaczy do włosów a dzisiejszy plantator różnary dla zamaskowania swej jednoznacznej przynależności klasowej, głośno afirmuje swój solidaryzm z czcłowym klubem piłkarskim w mieście...

Lucyna Bruchnalska, kierownik Wydziału Kultury w Piotrkowie powiada, że szczególną troską wydziału przez nią kierowanego jest stała więź z działaczami kultury, umiejętna koordynacja wszystkich poczynań kulturalno-oświatowych na Ziemi Piotrkowskiej.

Kto zna Piotrków przynają, że na ogół słowem tym odpowiadają cynicy. Bywało jednak, że ludzie w porę nie dostrzeżeni, chociaż reprezentowali wysoki stopień fachowości w kulturze, także ulegali kompleksowi — decydowali się w końcu na

Dalszy ciąg na str. 8

ANDRZEJ F. GRABSKI

Profesor Konstanty Grzybowski (1901 — 1970)

Odszedł nie tylko wybitny prawnik i historyk, profesor najstarszego polskiego uniwersytetu, członek — korespondent Polskiej Akademii Nauk, autor rozpraw z dziejów doktryn prawnych i politycznych od średniowiecza po czasy współczesne, uczony o renesansowej skali zainteresowań. Odszedł najwybitniejszy polski publicysta historyczny, humanista wrażliwy na wszystkie sprawy otaczającego go świata, człowiek ogromnej pasji społecznej, która nie dozwalała mu zamknąć się w ciszy profesorskiego gabinetu. Badał przeszłość i myślał o teraźniejszości. „Pamiętałem o zdaniu Goethego — pisał w 1960 roku: — „w obrębie danej epoki nie ma punktu, z którego można by ocenić tę epokę”. Przeszłość oceniałem jako drogę do teraźniejszości; przeszłość i teraźniejszość — jako drogę do przyszłości”.

Sporowokowany opublikowaną przezeń w zeszłym roku książką „Rzeczy odległe a bliskie. Rozmyślenia o historii Polski”, ogłosiłem na łamach „Odgłosów” (Nr 11/1969) obszerny szkic polemiczny, w którym tropiłem ślady tradycji myślowej dawnych stańczyków. Gdy przelałem Mu tekst tej recenzji-pamfletu, odpisał z Krakowa 27 marca 1969 roku: „Mam pretensję tylko o jedno: że robi Pan ze mnie stańczyka „w nowej szacie”. Dopóki istnieli stańczycy

jako odrębna, nie złączona z innymi odcieniami konserwatyzmu polskiego organizacja, byłem z nią tak ściśle związany, że byłem ostatnim jej sekretarzem generalnym. Moimi mistrzami naukowymi byli Michał Bobrzyński, Stanisław Estreicher, Wł. Leopold Jaworski — czyli jestem stańczykiem w jak najbardziej autentycznej szacie”.

Słusznie pisał o Konstantym Grzybowskim J. Górski (w polemice ze mną), że jego związki z tradycją koncepcji historycznych Bobrzyńskiego są to „związki łączące twórczego ucznia z nauczycielem historii, a nie nowego konserwatystę z konserwatystą starym”. Podkreślając w swych historycznych rozważaniach problemy władzy państwowej — zgodnie z tradycją swych mistrzów — opowiadał się Grzybowski, odmiennie niż niegdyś Bobrzyński, nie za władzą absolutną i arbitralną, ale silną i praworządną w duchu ideałów reformatorskich Odrodzenia i Oświecenia.

W pięknym dwutomowym zbiorze prac Konstantego Grzybowskiego, zatytułowanym „Refleksje sceptyczne”, który ukazał się przed kilku miesiącami, znalazł się także esej Autora z 1960 roku pt. „Z rozważań nad historią”. Bodaż najpełniej i w sposób najbardziej osobisty określił tu Profesor swój własny stosunek do badania dziejów i myślenia o przeszłości. „Zawsze pamiętałem — pisał tam — o zasadzie największego z historyków, K. Marksa: „wąpić o wszystkim”. U punktu wyjścia badań byłem sceptykiem. „Sceptyk wąpli, ale bada. Barbarzyńca wiezry bez badania, nie wąpli ani o swoim prawie, ani o swoich bogach. Ale — jak największy z historyków — również pamiętałem, że sceptycyzm jest tylko punktem wyjścia. Celem moich badań było znalezienie odpowiedzi. Sceptycyzm był tylko rusztowaniem koniecznym dla budowy gmachu i po jego zbudowaniu stawał się — jak i rusztowanie — zbędny”.

„Pamiętałem — powiadał dalej K. Grzybowski — że muszę być bezstronny, że nie wolno mi osądzać

przyjmując z góry jako dogmat czyjeś prawo lub czyichś bogów. Ale pamiętałem również, że muszę zamknąć swe badania wyciągnięciem wniosków. Każdy wniosek jest sądem, a każdy sąd jest stronniczy”.

„Pamiętałem — pisał — że każdy mój sąd rodzi skutki społeczne. Ze może się stać przedmiotem wiary, może zrodzić ślepa miłość przechodzącą w szowinizm lub ślepa nienawiść przechodzącą w barbarzyństwo. Ze jeżeli będzie niesprawdzalny i nie sprawdzany, będzie miał najczęściej takie skutki społeczne.

Dlatego pokazywałem drogę, jaką doszedłem do swych sądów, pokazywałem swój warsztat pracy i metody pracy. Nie wydawałem wyroków bez podania stanu faktycznego i uzasadnienia. Uczyłem krytycznie oceniać i sprawdzać treść wyroku historii — tak jak go widziałem”.

Uważał się za sceptyka i był sceptykiem. Ta właśnie kartezjańska postawa była istotą jego historycznego myślenia, jego historycznych badań i publicystyki. Na pewno nie była to postawa konformistyczna. We wstępie do wspomnianego już zbioru pisał Konstanty Grzybowski: „Sceptycyzm pozwala żyć społeczeństwu nie widząc niebezpieczeństw dla ustroju, w którym żyją. demokracja ateńska pozwalała długo żyć Sokratesowi i zadawać mu kłopotliwe dla rządzących pytania; skazała go dopiero wtedy, gdy powróciła ponownie — już zagrożona — po obaleniu rządów oligarchicznych i tyrańskich. Na sceptyków patrzył niechętnie i z niepokojem ustroje dopiero krzepnące: wszak sceptyk twierdzi, że nie wszystko w nich jest najlepiej. W tych zaś krzepnących dopiero ustrojach kontrewolucjonistów widzą w sceptyku najgroźniejszego swego wroga: wszak sceptyk jest zdania, że w tym ustroju może być lepiej, niż jest obecnie. A sceptyk sądzi, że właśnie dlatego jest potrzebny. Szukajcie odpowiedzi na pytanie, czy jest potrzebny”.

Dwudziesta wiosna ZSP

NA POLSKICH WYŻSZYCH UCZELNIACH, NA STUDIACH STACJONARNYCH KSZTAŁCI SIĘ OKOŁO 200.000 STUDENTEK I STUDENTÓW. WŚRÓD NICH 87,2 PROC. NALEŻY DO „STUDENCKIEGO ZWIĄZKU ZAWODOWEGO” — ZRZESZENIA STUDENTÓW POLSKICH, UWAZANEGO POMIMO DOPIERO DWUDZIESTU LAT ISTNIENIA, ZA NAJLEPSZĄ STUDENCKĄ ORGANIZACJĘ NA ŚWIECIE.

Na początku swego istnienia zetespowska organizacja kładła nacisk głównie na sprawy socjalne i naukowe. Jednocześnie formował się profil ideowy organizacji i dziś sprawą najważniejszą są zagadnienia wychowawcze, kształtowanie postaw. ZSP dąży do rozszerzenia pracy swoich członków. Będą podejmowane coraz szerzej zakrojone akcje, do których realizacji potrzebny będzie każdy student. Dla tego też muszą poważnie wzrosnąć szeregi organizacji. Bo choć w skali II ogólnopolskiej liczba członków ZSP stale rośnie, w niektórych środowiskach obserwuje się tendencje odwrotne.

W Łodzi, tylko na studiach dziennych, uczy się 15.849 studentów, co stanowi 8 proc. w skali krajowej i stawia nasze miasto jako szósty co do wielkości ośrodek akademicki. Niestety liczebność członków ZSP w naszym środowisku zmniejsza się systematycznie. Spośród dziesięciu największych ośrodków dydaktyczno-naukowych, w Łodzi wskaźnik liczby studentów, członków ZSP, jest obecnie najniższy w Polsce i wykazuje stałą tendencję spadkową. W stosunku do roku 1969 szeregi ZSP w naszym mieście zmniejszyły się o 4 proc., co jest także „rekordem” w skali ogólnokrajowej.

Przyczyny takiego stanu rzeczy są złożone i w krótkim artykule nie sposób ich przedstawić. Wydaje się jednak, że dotychczasowy program działania ZSP realizowany w Łodzi studentom nie imponuje. Warto by go więc przeanalizować jeszcze raz i poczynić odpowiednie kroki naprawcze. Bo choć nauka jest podstawowym obowiązkiem studenta, nie można przecież nie doceniać procesu wychowawczego w organizacji zetespowskiej.

Dla wyjścia z impasu trzeba skorzystać z doświadczeń innych środowisk, a także przodujących organizacji uczelnianych. Nie trzeba szukać daleko. Politechnika Łódzka wyszła z inicjatywą propagowania idei ZSP już na pierwszych latach. Procent zetespowców wśród najmłodszych studentów postawił PL na siódmym miejscu w skali krajowej. Może właśnie tędy droga?

W środowisku studenckim często słyszy się opinie, że ZSP składa się z grupy oddanych działaczy i całej reszty „martwych dusz”. Zapytany o stan faktyczny, przewodniczący RN ZSP stwierdził, że władze Zrzeszenia zdają sobie sprawę z tej sytuacji. Mimo formalnie szerokiej przynależności studentów do organizacji, ZSP nie ma zbyt wielkiego autorytetu wśród młodych. Zmiana tej sytuacji to jedno z najważniejszych i najbliższych zadań organizacji. Jest ambicją działaczy, aby każdy członek ZSP brał udział w przedsięwzięciach Zrzeszenia i poczuwał się do odpowiedzialności za ich realizację. Chodzi o to, aby ZSP nie kojarzyła się studentowi z radą wydziałową czy uczelnianą, lecz z najbliższymi kolegami, kolekty-

ne. Bowiem wszystkie te trzy organizacje mają wspólne cele działania i wspólne drogi realizacji.

Zadrażnienia te rodzą się, gdy rywalizacja zaczyna brać górę nad rozsądkiem — a także celami działania. Wprowadzić w RN ZSP zapewniano mnie, że w skali ogólnokrajowej takie nieporozumienia nie istnieją i współpraca przebiega bardzo dobrze, niemniej jednak te drobne nieporozumienia na niższych poziomach czynią wiele złego i stwarzają problemy, których być nie powinno.

Zrzeszenie Studentów Polskich, jako podstawowa organizacja akademicka, stało się platformą porozumienia uczelnia — student. Organizacja stoi na straży praw studenckich i dopilnowuje ścisłej ich realizacji, współpracując z władzami uczelni. Z drugiej strony poprzez sądy koleżeńskie wymaga od studentów poszanowania spoczywających na nich obowiązków.

Dla pogłębienia zainteresowań, ZSP stworzyło cały system kół naukowych, działających przy każdej uczelni. W całej Polsce jest ich przeszło 670 z 20 tysiącami członków. W Łodzi istnieje 8 kół, zrzeszających

są umowy z zakładami przemysłowymi, radami narodowymi miast — o wykonanie odpowiednich opracowań. Studenci podczas wakacji wyjeżdżają do tych ośrodków na obozy naukowe i realizują zamówienia. W roku ubiegłym zorganizowano w skali ogólnopolskiej 250 takich obozów. Zakres prac jest bardzo różnorodny. Od badania i zapisywania na taśmie magnetofonowej starych, zanikających pieśni ludowych, do kompleksowych badań warunków pracy w poszczególnych zakładach pracy czy zanieczyszczenia rzek. Studenci pogłębiają w ten sposób swoje wiadomości, a ich praca stanowi istotny wkład w życie kraju. Warto, aby na tę sferę działalności ZSP zwrócona została większa uwaga.

Tym bardziej, że obiecujące są już dotychczasowe wyniki. Studenci wykryli np. wiele nieprawidłowości, nawet tam, gdzie oficjalne kontrole wskazywały stan zadowalający. Szczególnie dotyczy to warunków pracy w niektórych przedsiębiorstwach. Pomimo orzeczeń „San-Epidu” o warunkach zgodnych z przepisami, wykazano, że dotychczasowe pomiary były wykonane błędnie i że w świetle nowych badań w kilku przypadkach należałoby, w trosce o zdrowie pracowników, podjąć radykalne kroki, zmierzające do zmiany istniejącej sytuacji. Tak było na przykład w zakładach ZPL „Orzeł” w Mysłakowicach, gdzie okazało się, że stężenie pyłu przekracza trzykrotnie dopuszczalną normę.

Warto więc wykorzystać wiedzę studentów jeszcze przed uzyskaniem przez nich dyplomu. Niestety, to zagadnienie nie jest jeszcze w chwili obecnej brane w większej skali pod uwagę przez odpowiednie czynniki.

A przecież trzeba zwrócić uwagę na sprawę powiązania studenckich poczynań z aktualnymi potrzebami kraju. Żeby już na studiach przyszli magiścirowie poznawali bieżącą sytuację oraz zapotrzebowanie na kadry z wyższym wykształceniem i z góry ukierunkowywali swoje dążenia i zainteresowania.

Polska znajduje się obecnie na etapie istotnych przemian społecznych i przemysłowych. Wielkie budowy potrzebują coraz więcej rozumnych ludzi, dobrych fachowców i organizatorów. Wiadomo, że praca nie jest tam łatwa. Do Zrzeszenia Studentów Polskich należy więc wytworzenie w środowisku studenckim odpowiedniego spojrzenia na przyszłą pracę. Aby ambicją każdego młodego magistra czy inżyniera było podjęcie pracy tam, gdzie go najbardziej potrzebują i gdzie w pełni będzie mógł zaprezentować swoje umiejętności i zdolności — na odcinkach najtrudniejszych. Nie zależy nikomu przecież na wychowaniu po kolech „mieczaków” i „maminsynków”. Polsce potrzebni są śmiały i zaangażowani ludzie. To jest cel i zarazem test egzaminacyjny dla organizacji.

Piotrków i kultura

Dalszy ciąg ze str. 7

emigrację i dzisiaj słychać sporo o nich w Łodzi, Katowicach, Rzeszowie...

Bywa, że jeszcze i dziś ten i ów nie rozumie, iż kultury nie robi się metodami administracyjnymi. Rodze nie się socjalistycznej kultury wymaga polityki kulturalnej preferującej socjalistyczne treści ideowe. Społecznicy w sferze kultury natomiast potrzebują inspiratorskiej opieki.

A czy to prawidłowe, jeśli odpowiedzialny z racji funkcji zawodowych za kulturę w mieście człowiek stoi jednocześnie na czele ciała społecznego, które ma sprawować... społeczną kontrolę nad kulturą (kontrola nad sobą!). To także krok wstecz, kiedy w 60-tysięcznym mieście w dobre specjalizacji łączy się radzieckie komisje oświaty i kultury (tak jest w Piotrkowie od roku). Jakby kultura i oświata były tym samym...

A jednak...

A jednak bardzo wiele zrobiono w piotrkowskiej kulturze. Cieszą się poważy sukcesy piotrkowian na festiwalach i konkursach nie tylko wojewódzkich, ale także centralnych. Cieszą się sześć lat konkursu literackiego o „Rubinową Hortensję”, czy nagroda państwowa przyznana w roku 1969 twórcom szkła w formie w HSG „Hortensja” — mgr inż. Edmundowi Unisławskiemu. Cieszą się wysokie uznanie dla piotrkowskiego oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza: po raz pierwszy miasto niewojewódzkie, właśnie Piotrków, będzie w październiku br. miejscem ogólnopolskiego zjazdu Towarzystwa, z którego imieniem wiąże się nierozdzielnie nazwiska tej miary literaturoznawców polskich, co Wilhelm Bruchnalski, Juliusz Kleiner, Julian Krzyżanowski, Kazimierz Wyka...

Proszę wybaczyć szczerość wywodu na temat: PIOTRKÓW I KULTURA. Wybaczyć także wtedy, jeśli nie podtrzymałem przypisywanej temu miastu tradycji języka dyplomatycznego. Ale domnie, many twórcy tego języka, Mikołaj Rej też był szczery.

JERZY KISSON-JASZCZYŃSKI



wem, który slykając się z nim na co dzień, najlepiej i najaktywniej potrafi ocenić jego postępowanie. Tak to dobre jak i złe.

W takim codziennym, lecz systematycznym działaniu, ZSP będzie w stanie realizować naprawdę wielkie zadania, jakie przed nim stoją.

Nie wszystkie można zrealizować samodzielnie, toteż ZSP współpracuje ze Związkiem Młodzieży Socjalistycznej i Związkiem Młodzieży Wiejskiej. Ale nie wszędzie współpraca przebiega najlepiej. Jest to zjawisko bardzo niekorzystne i dziw-

2.000 członków, co stawia nasze miasto w czołówce krajowej.

Dorobek młodych „naukowców” jest bardzo duży. Jeżeli jednak weźmie się za jego wskaźnik ilość wykorzystanych w przemyśle, czy w życiu społecznym opracowań, okaże się, że nie jest za dobrze. Wina za ten stan rzeczy nie leży po stronie ZSP, które stara się wynikami wykonywanych badań zainteresować kompetentne osoby i instytucje. Obecnie sytuacja ulegnie radykalnej zmianie. Na szczeblu Komisji Nauki Rady Okręgowej ZSP zawierane

ANDRZEJ HAMPEL

Książka walcząca

„Nie może być mowy o oszczędzaniu Polski” — mówił Hitler w czasie posiedzenia wyższych dowódców wojskowych III Rzeszy, 23 maja 1939 r. Trzy miesiące później — 22 sierpnia, omarzając sytuację polityczną i militarną Europy precyzyzował wytyczne: „Zniszczenie Polski jest na pierwszym planie. Ważną rzeczą w wojnach jest nie prawo, lecz zwycięstwo. Nie miejcie litości, bądźcie brutalni!”.

Realizując założenia bratnich wodzów, funkcjona riusze III Rzeszy opracowywali plany eksterminacji narodu polskiego z właściwą sobie pedanterią, aż do najdrobniejszych szczegółów. Program polityki niemieckiej na ziemiach polskich, opracowany w listopadzie 1939 r. w Rassenpolitisches Amt der NSDAP pt. „Problem postępowania z ludnością byłych ziem polskich z rasowo-politycznego punktu widzenia” zawierał także fragmenty dotyczące duchowego życia Polaków: „Utrzymanie narodowego ży-

cia kulturalnego Polaków musi być oczywiście absolutnie nie wykluczone (...) nie mogą istnieć punkty oparcia narodowego i kulturalnego życia polskiego. Nie mogą istnieć na wschodnich terenach polskie szkoły (...) Na leży zamknąć polskie teatry, kina i inne miejsca rozrywki kulturalnej. Nie może istnieć polska prasa, polskie książki albo inne czasopisma (...) Uniwersytety i inne szkoły wyższe, szkoły za wodowe, jak i szkoły średnie, były zawsze ośrodkiem polskiego szowinistycznego wychowania i dlatego powinny być w ogóle zamknięte (...)”.

Hitlerowskie władze okupacyjne od pierwszej chwili realizowały więc konsekwentnie plan totalnego zniszczenia kultury i nauki polskiej. Traktowały to jako pierwszy etap biologicznego zniszczenia narodu. Skoro Polacy mieli być jedynie bierną siłą roboczą, a ich wykształcenie nie mogło się gnać dalej niż nauka czytania, pisanie i czterech pod-

stawowych działań arytmetycznych, należało przede wszystkim zniszczyć naukę i kulturę polską, skazać na zagładę inteligencję. Ale chociaż Polska w czasie okupacji była krajem, gdzie Niemcy postępowali najbrutalniej, niszcząc nasz dorobek duchowy, tłumiąc wszelkie przejawy życia kulturalnego, to jednocześnie chyba nigdzie okupanci nie zetknęli się z tak zdecydowanym i niemal powszechnym stanowiskiem społeczeństwa, broniącego swej kultury, zwłaszcza książki.

Udaną próbą opisania zmagania księgarzy polskich z terrorem faszystowskim jest praca Stanisława Pazury „Z dziejów książki polskiej w czasie drugiej wojny światowej”.

Dzięki licznym wspomnieniom rozsiągnięciu w prasie, naukowym opracowaniom, dysponujemy dziś stosunkowo szeroką wiedzą na temat wydawanych w podziemiu pism i książek polskich, ale książka St. Pazury po raz pierwszy tak szeroko i rzeczowo zaznajamia nas z codzienną walką księgarstwa polskiego o zachowanie przedwojennych zbiorów, ukrycie zakazanych książek, dotarcie z nimi do czytelników. Przekazuje szczególnie relacje o formowaniu się podziemnych władz księgarskich, o współpracy z tajną oświatą, wreszcie o bojkotowaniu hitlerowskich „gadzinówek”,

obliczonych na demoralizowanie społeczeństwa polskiego.

Najboleśniej dotknął los książkę polską na terenach wcielonych do III Rzeszy. Konfiskaty, likwidowanie i wywłaszczanie polskich właścicieli księgarń i wydawnictw, niszczenie księgozbiorów prywatnych, kierowanie dziesiątkami tysięcy książek „na przemiał”, to codzienna rzeczywistość Poznania, Łodzi, Pomorza i Śląska. Choć władze hitlerowskie na obszarze Generalnej Guberni nie zawiesiły formalnie działalności księgarskiej i dopuszczaly możliwość ukazywania się polskiego słowa drukowanego, to nie znały to wcale, by los książki polskiej był tu lepszy. Jednak i w GG dzięki ofiarności księgarzy współpracujących z podziemnymi organizacjami politycznymi udało się często obejść rygorystyczne zakazy i nakazy komisarycznych zarządców, ukryć zbiory, przeciwdziałać zakusom nielicznych ko laborantów.

Za sprawą księgarzy książka polska żyła nadal. Hitlerowcy, wprowadzając w życie generalne założenia polityki rasowej sporządzili „czarne listy” książek zabronionych, skazanych na zniszczenie. Jak podaje St. Pazura te indeksy hańby o bejmowały przeszło trzy tysiące tytułów, dzieła wsty stkie 68 autorów polskich oraz wszystkie wydawnictwa

37 instytucji wydawniczych. Począwszy od dzieł Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego, Sienkiewicza, Żeromskiego, Staffa, Tuwima i wielu innych, poprzez naukową literaturę historyczną, polityczną, ekonomiczną, filozoficzną, aż do... kalendarza robotniczego — wszystko miało ulec zagładzie. A jednak księgarze nie ulegli się gróżb, nie załamała ich przemoc i śmierć kolegów. Codziennie narażali życie w obronie słowa polskiego, wydając nielegalnie podręczniki, pisma, powieści, tomiki wierszy, przy gotując się do wznowienia pełnej działalności w wolnej Polsce, wreszcie współpracując z tajnymi szkołami i uczelniami.

Informacja na „skrzydełku” książki St. Pazury informuje, że „dla większości czytelników będzie zaskoczeniem rozdział, omawiający rozwój polskiego ruchu wydawniczego na obczyźnie”. I rzeczywiście, autor zgromadził w nim olbrzymią ilość faktów, dotyczących książek wydanych przez polską emigrację wojenną na całym niemal świecie. Jak wiadomo polskie skupiska emigracyjne powstawały przeważnie na szlakach, którymi wędrowały oddziały wojska polskiego. Tam też z reguły organizowały się oficyny wydawnicze, redakcje gazet. Polska książka rodziła się w Rumunii i na Węgrzech, w Związku Radzieckim, Ira-

ku, Palestynie, Francji i Anglii. Ale także w Stanach Zjednoczonych, Australii, Nowej Zelandii, Afryce i Indiach. Drogi uchodźstwa polskiego znaczący się najszlachetniej: krwią i słowem, które utrwalone w piśmie, panuje nad czasem i przestrzenią.

Do miary symbolu urasta fakt, że po rozgromieniu faszystów, uwolnieni z obozów Polacy przystąpili natychmiast, jeszcze na terenach byłej Rzeszy, do wydawania książek. Już w 1945 roku w Hanowerze i Hamburgu, Kilonii i Lubecie, w Norymberdze rozwijał się polski ruch edytorski. Właśnie w 1945 roku w Goslar jako jeden z pierwszych polskich druków ukazał się tom poezji pt. „Z liryki ocej”, wydany przez Jana Korprowskiego.

Książkę St. Pazury, wypełniającą rzetelnie lukę w naszej wiedzy o latach 1939—1945, zamykają dodatki i indeksy w postaci listy imiennej księgarzy i wydawców dotkniętych terrorem faszystowskim, projektów i planów uchwalonych przez podziemną Radę Księgarstwa, wykazu instytucji i placówek księgarsko-wydawniczych działających w podziemiu i na emigracji.

St. Pazura „Z dziejów książki polskiej w czasie drugiej wojny światowej”, PIW, 1970.

Powszechnie wiadomo, że uroki Zakopanego odkrył dla potomnych dr Chaturbiński, ale Tatrami i Skalnym Podhalem interesowano się znacznie wcześniej. Mają one urzekającą siłę, która w te rejony kraju od dawna ścigała pisarzy, malarzy, muzyków i naukowców. Te ułamki wiedzy nie dają jednak pełnego jej obrazu i trzeba było wielkiego nakładu pracy, aby zebrać wszystko, co o Skalnym Podhalu napisano.

Książka Stanisława Piotrowskiego „Skalne Podhale w literaturze i kulturze polskiej”, jaka ukazała się niedawno nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, ze wstępem dr Juliana Krzyżanowskiego, jest owocem tego trudu. Nie preterduje ona do ukazania pełnego obrazu dziejów Podhala, stanowi raczej przykład systematycznej wiedzy o tej części Polski i jej znaczeniu i roli w polskiej kulturze. Zawiera zestaw ważniejszych wydań rzeź historycznych począwszy od XII stulecia a skończywszy na pierwszej połowie XX wieku. Omawia twórczość tych, którzy nie tylko na Skalnym Podhalu przebywali, ale czerpali z jego tradycji inspirację i materiał. Są więc tu szkice poświęcone m.in. Sewerynowi Goszczyńskiemu, Wincentemu Polowi, Witkacemu, Stefanowi Ze romskiemu, Kazimierzowi Przerwie-Tetmajerowi, Janowi Kasprończowi, Tadeuszowi Micińskiemu i Władysławowi Orkanowi. „Skalne Podhale w literaturze i kulturze polskiej” jest książką, którą z zainteresowaniem wezmą do ręki nie tylko studenci polonistyki, nauczyciele języka polskiego, naukowcy, ale również miłośnicy literatury i gór. Serdecznie im tę książkę polecamy.

B.M.

Stanisław Piotrowski,
„Skalne Podhale w literaturze i kulturze polskiej”

IGNACY GUSTAW
ROMANOWSKI

Pejzaże Józefa Mroza



Józef Mróz: Pejzaż sandomierski — 1962 — olej

To, co nazywamy granicami malarstwa tradycyjnego jest pojęciem nieostym i w gruncie rzeczy eufemizmem. Bo co pojęcie to potocznie wyraża?

Jeszcze kilka lat temu określilibyśmy, że malarstwo przedstawiające, figuratywne jest sztuką tradycyjną. Po wejściu jednak na rynek sztuki nowej figuracji, tradycyjna z kolei staje się sztuka abstrakcyjna, ustępując pola formom tolerowanym dotąd jedynie na plakatach. Więc nie tu tkwi kryterium, za pomocą którego moglibyśmy wytyczyć granicę tradycyjności w sztuce. A przecież nie wytycza tej granicy również pozostawanie w ramach określonych konwencji. Czy jest bowiem prawdą, że malarz pozostający dziś w obrębie konwencji impresjonistycznej jest bardziej tradycyjny niż np. inny uprawiający tzw. malarstwo gestu?

Dla Strzemińskiego każdy obraz miał być integralnym odkryciem w zakresie formy. Było to więc kryterium ostre: coś, co nie jest odkrywcze w formie, staje się działalnością powtarzaną. Ale ilu spośród ludzi parających się sztuką, może stawiać przed sobą takie najwyższe zadania? Nie podejmuję się wyliczyć, choć, być może, nie byłoby to zajęcie nazbyt pracochłonne. Po prostu — pojęcie nowoczesności w sztuce jest płataną propozycją artystycznych większych i mniejszych, kamuflowanych powtórzeń i zapożyczeń oraz powtórzeń świadomych i jawnych. A często i produktem samej atmosfery niespodzianki i innych pozaartystycznych zabiegów tego rodzaju.

Łatwiej więc śledzić w twórczości osób parających się sztuką inną cechę: konsekwencję wobec raz przyjętych założeń ideowych i formalnych. Ma to przynajmniej jedną wartość niewątpliwą: pozwala dostrzec autentyczność działalności artystycznej.

Uwagi te nasunęły mi się w związku z wystawą malarstwa pejzażowego Józefa Mroza.*

Mróz jest rzecznikiem sztuki prostej i wyrazistej. Uczeń Makarewicza i Bukowskiego po ukończeniu w 1939 r. krakowskiego Instytutu Sztuk Plastycznych, oparł się na trwałej podstawie jaką z jednej strony dawały doświadczenia kapizmu, z drugiej zaś strony formalnego ekspresjonizmu. Zafascynowany koloryzmem, nie dał się jednak ponieść łatwej manierze operowania barwą w sposób

automatyczny czy intuicyjny. Przenosząc w tkance tematycznej realia istniejące: architektury, pejzażu czy sylwetek ludzkich, kolorowi pozostawił rolę budowania struktury emocjonalnej obrazu. Czerwień, żółć, pełna zielen mają tu przydawać cech prostoty założeniowej i jednoznaczności formy. A przecież Mróz operuje również w sposób doskonały półtonami, potrafi gamę kolorystyczną rozbić i przemieszać tworząc delikatną mozaikę przejść między poszczególnymi kolorami w zależności od dystansu artysty do kreowanego tematu. Bo, choć jest to malarstwo oparte o tradycyjny motyw opisu przedmiotu, Mróz nie staje się ilustratorem obserwowanych



Józef Mróz: Pejzaż sandomierski — 1962 — olej

nych realiów. On te realia kreuje, daje im cechy nowej rzeczywistości.

Mróz penetruje motywy architektury swoich ulubionych regionów Ziemi Łódzkiej i Kieleckiej. Spędzając okres wojny we wsiach powiatu sandomierskiego nabrał własnego uczuciowego stosunku do tych niezbyt sławnych a często całkowicie nieznanymi budowlami — wiejskich kościołów, starych lamusów, młynów wodnych, które w jego szkicowniku nabierały wagi rzeczy serdecznych i bliskich. Szlaki młodości Mróza przemierza corocznie malując dużo i powracając do tych samych motywów architektonicznych i do pejzaży oglądanych wciąż na nowo. Dlatego też obrazu te wirują jakby wokół wspólnej osi, która tworzy jedność motywów.

Józef Mróz pracuje wieloma technikami, m. in. tak dzisiaj rzadką polichromią ścienną i mozaiką, przede wszystkim jednak posługuje się techniką olejną i akwarela. Akwarela sprzyja formom łagodnym, ścisłym. W technice olejnej dochodzi do głosu cały dynamizm sztuki Mroza. A dynamizm ten uzewewnętrznia wizyjność tego pozornie skromnego malarstwa. Jest tam pewien patos, skłonność do przeciwstawiania emfazy i groteski. Zwłaszcza jest to widoczne w wizerunkach drzew — ulubionym przez Mroza motywie przyrody. Te kompozycje drzew, związane w spiętrzone dramatyczne układy o niespokojnych zwichrowanych rytmach, kontrastują u Mroza najczęściej z groteskowymi sylwetkami dzieci zastygłych w jakiejś obłędnej zabawie lub ze stylizowanymi grupkami grajków. W tej atmosferze jakby w dalekim odbiciu Bruegla, odbywa się niemy taniec drzew, wprawionych w ruch pędzlem malarza. Przywołane na świadków sylwetki ludzkie mówią, że taniec ten może się odbywać tylko w tamtych realiach, w rzeczywistości obrazu. Ale atmosfera jest tu pogodna; równowagę przywróci sobie sama przyroda a reszty dokona kolorystyka tego radosnego, humanistycznego malarstwa.

* Józef Mróz — Pejzaże — Klub „Unibud”
kwiecień — maj 1970

ROMAN LOBODA

Wojsko na estradzie

III Festiwal Zespołów Artystycznych Uczelni Wojskowych zaprezentował osiem zespołów uczelnianych z całego kraju. Trwający przez trzy dni (10, 11, 12.VI) pokaz umiejętności artystów amatorów mógł nasunąć wiele refleksji na temat kierunków poszukiwań, metod szkolenia i efektów artystyczno-ideowych zespołów wojskowych.

Ruch artystyczny w WP ma o wiele większe znaczenie wychowawcze dla wojska niż amatorski ruch artystyczny cywilnych uczelni, zakładów pracy, domów kultury itp. dla młodych, skupionych wokół ognisk kulturalnych.

Młodzi studenci na uczelniach wojskowych i odbywająca terminową służbę wojskową ma ograniczone możliwości korzystania z „cy-

wilnych” dóbr kulturalnych, toteż będąc konsumentem a także producentem głównie wartości kulturalnych w wojsku, ulega ich wpływowi.

Wiek wojskowy, to najczęściej czas kształtowania się poglądów i gustów człowieka, wielu z młodych nie miało zbyt wiele okazji do obejrzenia ze sztuką, toteż kierunek i poziom artystycznego wychowania w wojsku decyduje najczęściej o trwałych gustach i stosunku do sztuki tych ludzi w przyszłości.

Festiwal wykazał, że metody i kierunki poszukiwań oraz poziom artystyczny większości zespołów jest oparty na solidnej i niestereotypowej pracy ich opiekunów, instruktorów, kierowników i reżyserów.

Nie brak zapалу i szereg

zaangażowania u ludzi poświęcających się tej, także i w wojsku, pozawojskowej pracy. W nielicznych tylko zespołach zauważono tendencje do naśladowania efektywnej tandenty, co nie tyle świadczy o nieudolności wykonawców, co błędnych ukierunkowaniach. Oczywiście przy ocenie brano również pod uwagę brak doświadczenia czy po prostu niedojrzałość debiutantów zespołu w porównaniu do innych, które wypracowały sobie wyższe umiejętności sceniczne, muzyczne, wokalne, reżyserskie itp.

Komisja artystyczna Festiwalu nie tylko oceniła wyniki pracy zespołów, lecz także w spotkaniu z zespołami starała się udzielić im w serdeczny i życzliwy sposób rad fachowych, mając w swym gronie specjalistów w dziedzinie reżyserii, muzyki, wokalistyki, literatury i scenografii.

„Verbum”, Zespół Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi wystąpił z dramatem współczesnym M. Z. Bordo-wicza pt. „Mieszkańcy pomni ków”, wykazując dojrzałość sceniczną, a głównie imponującą klarownością inscenizacji. Elementy muzyczne i scenograficzne harmonijnie zespolone przy nienaganej grze aktor-

skiej dały spektakl zwały i interesujący. Zespół otrzymał nagrodę szefa Głównego Zarządu Politycznego WP i wiceministra obrony narodowej gen. dyw. Józefa Urbanowicza, a reżyser spektaklu, W. Szozotowski — indywidualne wyróżnienie.

„Verbum” był jedynym zespołem penetrującym w kierunku dramaturgii. Inne zespoły demonstrowały montaż słowno-muzyczny, korelując bądź to w kierunku poezji, bądź piosenki czy tańca. Te ostatnie próby wykazywały najmniej dopracowania i wtopienia w całość układu. Największą dojrzałość w geście wykazał zespół z Gdyni, o czym później.

Zdobywcy nagrody z-cy szefa GZP, szefa Zarządu Kult. i Oświaty GZP oraz nagrody ZG Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej — Zespół Wyższej Szkoły Oficerskiej i Wojsk Rakietowych i Artyleryjskich w Toruniu dali niezłą zgrzeszoną publiczności dużo zadowolenia, a poziomem wykonawstwa ten młody zespół sprawił miłą niespodziankę. Zainscenizowany program liryczno-refleksyjny pt. „Rapsodia żołnierska” ujął wszystkich wdziękiem i prostotą, a nawet niezbyt wiążące się z tekstem (poemat Kubiaka) piosenki „wchodzący”

na zasadzie uroczego intruza — przerywnika.

Z poważną poezją wystąpił zespół Wyższej Oficerskiej Szkoły Inżynierskiej z Wrocławia. Wykonawcy potrafili „rozprawić się” z trudnymi tekstami takich poetów jak Przybysz, Jachimowicz, nie popadając zbyt rażąco w maniery „recytacji”. Scenariusz układu, jakkolwiek ambitny, nie zdołał uwypuklić jakiejś wyraźnej myśli przewodniej, idei, a także nie odnalazł poity dla wielu wybranych do montażu doskonałych tekstów. Muzyka i wokalistyka pokazały zbyt dosłownie ilustrującą tekst i mało precyzyjnie komponującą się z nim. Było to jednak bardzo ambitne zamierzenie, któremu zespół może w niedalekiej przyszłości sprostać, a jest to droga poszukiwań niezmiernie cenna, kształcąca. Zespół za program pt. „Polonia Restituta” otrzymał nagrodę I sekretarza KE PZPR i przewodniczącego Prez. RN m. Łodzi.

Nagrodę Zarządu Głównego Teatrów Amatorskich przyznano zespołowi Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej w Gdyni za program kabaretowy „Cała naprzód”. Ten trudny gatunek estradowy marynarze uprawiają od 1966 roku i trzeba przyznać, że robią to zrezygnie, a dowcip

ich nie jest banalny. Najcenniejsze jednak w tej działalności jest to, że prezentują teksty własne.

„Bory pachną Polską”, to tytuł programu, z którym wystąpił zespół Wyższej Oficerskiej Szkoły Wojsk Pancernych w Poznaniu. Tu chyba najbardziej widoczna była dążność do układów dwiobiorowych na tle prostych, ale interesujących elementów scenograficznych. Razyły pewne naiwności i chwytliwy „pod publiczkę”, czasami piękny tok psuło niedopracowanie inscenizacyjne. Wydaje się, że można było tę tendencję uplastyczniana słowa z lepszym efektem i skutkiem wykorzystać w programie. Zespół otrzymał nagrodę 4-cy Garnizonu m. Łodzi oraz puchar WKZZ.

W sobotę, 13.VI, odbyło się uroczyste ogłoszenie wyników III Festiwalu i wręczenie nagród. Wśród indywidualnie nagrodzonych znaleźli się: Wiesław Szozotowski za całokształt działalności artystycznej, a za szczególne walory wykonawcze: Maciej Brus, Wiesław Jędrzejczak, Michał Kopuza, Andrzej Danyś, Tomasz Wadejko, Ryszard Brzozowski i Wiesław Rawski. Komisja artystyczna przyznała dyplom specjalny Elżbiecie Dietrich za scenografię.

Festiwal zakończył koncert Orkiestry Reprezentacyjnej Wojska Polskiego pod dyrekcją Arnolda Rezlera.

Wyobraźmy sobie...

Wyobraźmy sobie trójkę starych, bardzo starych i bardzo zniechęconych ludzi, przebywających całymi latami w jednym pokoju. Powiedzieli sobie już wszystko, a na prowadzenie sporów czy choćby jałowych dyskusji nie mają sił. Nie mają nawet sił, by zniechęcić się do siebie, które to uczucie co prawda podłe, bo podłe, lecz w tej sytuacji pozytywne, bo pracochłonne. Otacza ich więc pustka ogromna, przerażająca pustka, może w kształcie ciemnego tunelu z wyjściem do nikąd. Ciąży ich chore powoli umierają, lecz duch jeszcze żywy. Świadomość jest trwałsza niż materia. Leżą przykuci swą starością do jednego miejsca, skazani na wieczną udrękę i ból oczekiwania na finał życiorysu.

Rzecz jednak polega na tym, że tego wcale nie trzeba sobie wyobrażać. Tak jest naprawdę. Mam na myśli trójkę mężczyzn z domu opieki dla nieuleczalnie chorych w Tomaszowie. Od wielu lat przebywa tam prawie stuletni Karol Łoziński, ród wieśnik Paderewskiego i Narutowicza. Jeszcze dziś na wspomnienie o zabójcy prezydenta Narutowicza pada święty oburzenie.

— Należało go zamknąć w takim pokoju jak nasz i trzymać tam do końca życia — powiada z gniewem. — To byłaby największa kara.

Stary człowiek pochodził z Kresów, ze łzą w oku wspomina chętnie dzieciństwo, rodzinne łaski, rzeczki i jakieś tam jeziora. Wi docznie przyrodę pamięta się dłużej niż ludzi. Posiadał sześciu braci, o wiele młodszych od siebie, żaden z nich już nie żyje. Dawno umarła żona, syn zginął na wojnie, córka przebywa za granicą. Jak się ma prawie sto lat wszystko jest jakieś odległe.

Obok Karola Łozińskiego Jerzy Makowiecki. Młodszy chyba o pół wieku, lecz równie niedołężny. Leży od zakończenia wojny, przez dwa

dziesięć lat patrzy w sufit. Pocisk artyleryjski trafił prosto w łufę jego czołgu raniąc nieuleczalnie. Nikt o nim nie pamięta, bo nikt o nim nie wie. Żołnierz zapomniany, to gorzej niż żołnierz nieznany. Na grób Nieznanego Żołnierza ludzie czasem przynoszą kwiaty. Do łóżka zapomnianego żołnierza nie przychodzi nikt. Wokół toczy się rozfestiwalowany świat, a w nim trwa nadal wojna, która już się nigdy dla niego nie skończy. W milczeniu tli się w nim życie. Rozmawiać na wet nie może, powie dwa słowa wyraźnie, reszta przemienia się w jakieś nieartykułowane dźwięki. Wszystkie na skutek odniesionych ran. Żywy symbol okropności wojny.

Wyobraźmy sobie jak posępna i pełna gorzkiego smutku musi być jego egzystencja, ściślej vegetacja. My sobie tego jednak wyobrazić nie potrafimy, tak jak nie potrafimy mu pomóc.

Trzecim współlokatorem i towarzyszem niedoli jest z kolei człowiek nieznany. Nieznany w głębszym sensie, niż znajomość jego nazwiska, które jest wiadome. Nie o biografii tu chodzi. Każdy człowiek, który w naszym kraju przeżył z siedemdziesiąt lat, przeżył również dwie wojny

światowe, a to jest już wystarczająco dużo, co najmniej za dużo o dwie wojny na jednego człowieka.

Wyobrażam sobie, jak ciężką pracę spełniają ludzie którzy się tymi chorymi starcami opiekują. Funkcję pielegniarek w tym konkretnym domu pełnią siostry zakonne. Myślę, że wybrały sobie dobry sposób na zbawienie. Stąd faktycznie można pójść prosto do nieba, jeśli się coś takiego przy wyborze drogi bierze pod uwagę.

Cóż, siostry jak to siostry. Oprócz troskliwej i pełnej poświęcenia opieki mogą zaoferować tylko modlitwę, co jako zatwardziałemu ateistą uważam, nie jest rzeczą wcale złą dla ludzi w beznadziejnej sytuacji. Jak się stuletni człowiek pomodli, nikomu szkody to nie przyniesie, a jemu będzie lżej.

Istnieje jednak przecież w tym domu również świecki dyrektor. Co on czyni, ażeby cokolwiek zmniejszyć tę bezbrzeżną monotonię samotności starych ludzi? Otóż mieli oni niegdyś aparat radiowy, lecz dyrektor rozkazał zamurować we wszystkich pokojach kontakty i w ten sposób pozbawił ich jedyne kontakty ze światem. Gwoli sprawiedliwości powiedzić należy, że w to miejsce chorym zain-

stalowano kołchożnik, warczący, skrzypiący, i nadający tylko jeden program, oczywiście nie wątpliwe, że świetny.

Rozmawiałem z dyrektorem na ten temat. Jest on człowiekiem głęboko przekonany o słuszności swego postępowania. Po pierwsze zlikwidował radiopajęczarstwo, po drugie zabezpieczył dom przed możliwością pożaru, po trzecie uniemożliwił słuchanie zagranicznych radiostacji a więc przeciwstawił się ewentualnej indoktrynacji ideologicznej starszusków.

Mieszkańcy tego sympatycznego i smutnego domu dosłownie płakali i błagali mnie o pomoc, kiedy się tam zjawiłem. Twierdzili, że gdyby mieli więcej sił, poszliby pieszo do prezesa Sokorskiego, by go uprosić o zezwolenie na słuchanie radia gratis. Myślę, że prezes Radiokomitetu nie ma im złego tego radiopajęczarstwa. Nie słyszałem także, by od radia ktoś się zapalił. Podobno starszuskowie używają grzejników i maszynki elektrycznych do parzenia kawy i herbaty. Widocznie są do tego zmuszeni. Świadczą o tym więcej rzeczy tylko przeciwko kierownictwu do mu a nie przeciwko chorym Z trzecim argumentem dyrektora nie będę polemizował. Ma rację,



Gotowość do uderzenia

Schlagfertigkeit. To precyzyjne i bogate semantycznie słowo niemieckie bardzo trudno przetłumaczyć na nasz język. Wielki Słownik Niemiecko-Polski Pipreka i Ippoldta podaje następujące ekwiwalenty: gotowość do boju, bitność, a w przenośni — ciętość.

Zatrzymajmy się przy tym ostatnim znaczeniu. Ciętość. Cięta odpowiedź — mówimy, gdy ktoś zaczepiony potrafi dać ostrą, często dowcipną odprawę słowną. Czy ciętość wydobywa jednak wszystkie treści tkwiące w słowie niemieckim? Przede wszystkim czy oddaje znaczenie drugiego członu, owej „fertigkeit”? Odpowiada ona polskiemu słowu „gotowość”. Nie wystarczy więc, że ktoś potrafi dać ciętą odpowiedź, musi mieć ripostę jakby stale w pogotowiu.

Przeciwieństwem określenia Schlagfertigkeit jest idiom francuski esprit d'escalier, nieprzekładalny na nasz język. Dosłownie oznacza to bystrość z klatki schodowej, a faktycznie chodzi tu o te wszystkie genialne pomysły i koncepcje, które nie przychodzą nam do głowy w odpowiednim czasie, gdy jesteśmy na przykład w dowcipnym towarzystwie, ale dopiero wtedy, gdy je opuścimy i gdy znajdujemy się na schodach. Niewiele z nich wówczas pozostaje.

Te rozważania wstępne służą mi za przedświadek do uwag na temat programu „Pierwsze zaliczenie”, nadanego przez Telewizję Warszawa w dniu 14 czerwca z okazji wręczenia Złotych i Srebrnych Masek przyznanych w plebiscycie „Expressu Wieczornego” i innych gazet, w ich liczbie naszego „Expressu Ilustrowanego”.

Otóż stało się już pewną tradycją, że zdobywcy masek poddawani są podczas uroczystości wręczenia dodatkowemu testowi. Właśnie na ową Schlagfertigkeit. Tak było i tym razem. Ledwie ukazyli się na estradzie, ledwie wręczono im zaszczytne wyróżnienia, a już posypał się na nich grad pytań i to pytań szczególnych. Jakby wyczekujących na szybkie, dowcipne skwitowanie.

Rozpoczął odpowiadać Daniel Olbrychski i z miejsca skontrolował pytanie z brawurą i humorem, narzucając ten sam ton wszystkim swoim kolegom. Nie wypadło wprost odpowiedzieć niedowcipnie, albo długo się namyślać. Aktorzy rozpoczęli zdanie czasem jeszcze po omacku, aby tylko słuchaczom nie dać czekać, by w trakcie jego formułowania wyprowadzić efektowną pointę.

Oczywiście, nie wszystkie dowcipy były równej miary. Ale w zasadzie nikt nie zawiódł. Gdybym miał oceniać, na pierwszym miejscu postawiłbym chyba Mieczysława Pawlikowskiego, który ruszył konceptem jak na pana Onufrego Zagłobę przystało, a zaraz potem Magdę Zawadzka. W sumie jednak, powtarzam, wszyscy laureaci okazali się schlagfertig.

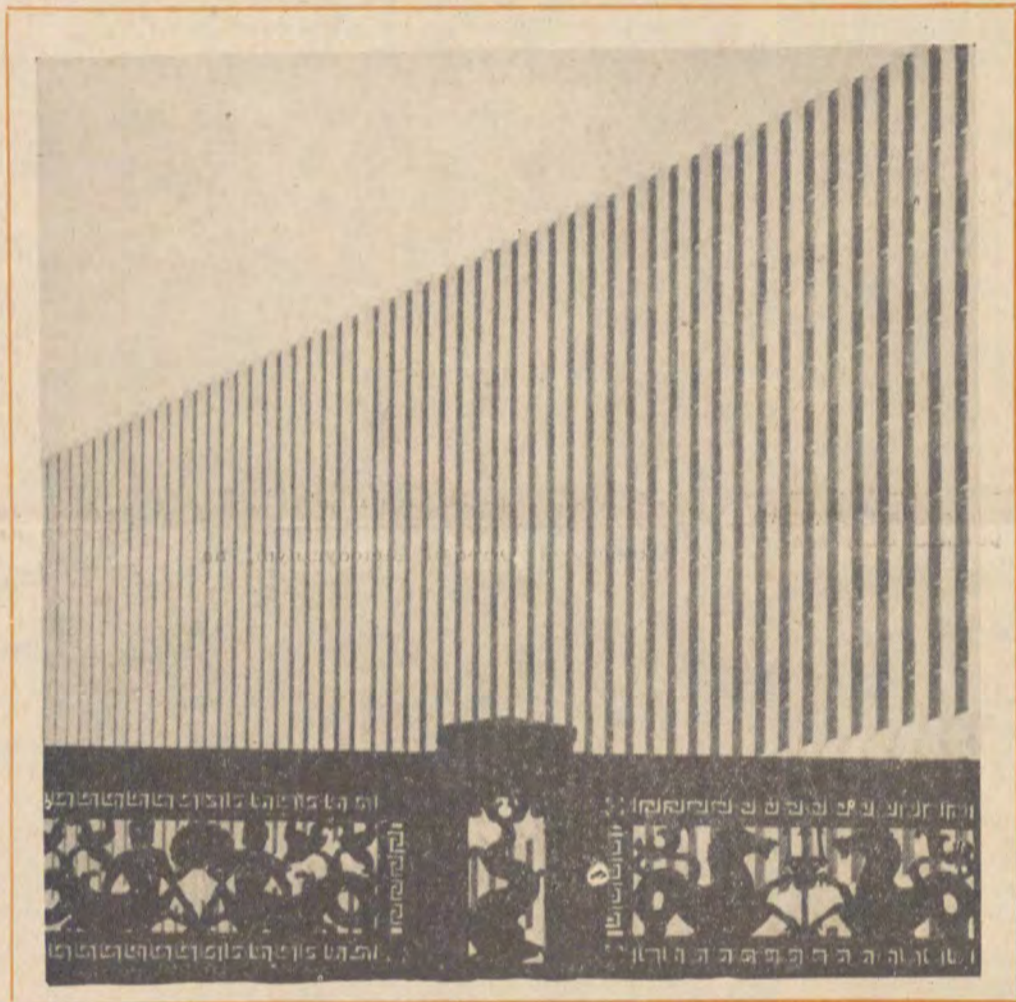
To dobrze. Aż strach pomyśleć, co by to było, gdyby ktoś z ulubionych aktorów w takiej sytuacji wykazał esprit d'escalier, zasumował się i nie umiał wybrnąć z odpowiedzi. Błamaż, zawód, rozczarowanie. Profesja aktora nie wymaga wprawdzie, by był dowcipny i wymowny w życiu. Na scenie, czy na planie filmowym przemawia on poważnie językiem nie swoim, lecz włożonym mu w usta przez autora. A mimo to popularni aktorzy coś straciłoby ze swego uroku, gdyby się nam nie sprawdzili w teście na Schlagfertigkeit.

Chodzi bowiem w tym wypadku nie o zwykłych, szeregowych aktorów, nawet nie w każdym wypadku o wybitnych aktorów, ale o wykonawców popularnych ról filmowych, czy telewizyjnych, które utożsamia ich w społecznym odbiorze z pewnymi postaciami, uczyniły ich naszymi idolami. Jakby to mogło być, żeby Zagłoba wprowadzony na telewizyjną estradę nie umiał błysnąć zabawną dykteryjką, albo żeby Ketting nie umiał pięknie powiedzieć o miłości? Jak to było? „Wolę cię niż królestwo, niżli sceptr, niżli zdrowie, niżli długi wiek...”

Oglądając program „Pierwsze zaliczenie”, myśleliśmy chyba wszyscy o tym, jak to dobrze, że popularni aktorzy okazali się jednocześnie inteligentnymi i ciętymi rozmówcami. W każdej chwili gotowi do sparowania zaskakującego pytania i zaatakowania zaskakującą pointą.

Niektórzy sceptycy zapewniali mnie, że rozmowy z „maskami” musiały być uprzednio omówione i przygotowane. Osobiście wolę w to nie wierzyć. Świadomość tego odebrała by mi cały smak tego udanego programu.

Władysław Główny



W Pradze i Bratysławie

Dalszy ciąg ze str. 3

ności i kunsztu. Na jednej ze ścian skąpy napis: „Zde žil Franz Kafka”. Gdy się widzi ten dom i jego wnętrze, lepiej rozumie się mroczny i tajemniczy świat bohaterów pisarza. W Pradze przebywał i nasz Szopen. W oknach księgarń ozdobny wolumin „Chopin w Pradze”, który ukazał się na kładem jednej z tutejszych oficyn wydawniczych. Z polskich książek widzimy jeszcze „Potop” Henryka Sienkiewicza, powieść dla młodzieży Wiktora Woroszyłskiego „Gdzieś, Cyrylu?” i jakiś tom Stanisława Lema. W ogólności Czesi i Słowacy przekładają i wydają wiele z literatury polskiej, o czym możecie przeczytać u Wiesława Jażdżyńskiego.

Stare miasta mają stare i piękne tradycje. Dotyczy to nie tylko sztuki, także samo spraw kulinarne. Na ścianie „Pivnicy u staro Tomasza” przeczytaliśmy następujący napis: „Pomni, że nejsi na svete jen proto, abys jenom

jed a pil, ale proto, abys dobre jedl a dobre pil”. Mam nadzieję, że treść tego porzekadła jest zrozumiała i nie wymaga tłumaczenia na język polski. Były tam inne jeszcze napisy, ale ten wydał nam się najbardziej charakterystyczny dla starej mieszczańskiej Pragi. Po drodze daje o sobie znać współczesność. Jest wszak czerwiec 1970 roku. Praga, jak w ogóle cała Czechosłowacja mają wiele problemów do rozwiązania, wśród których jednym z najważniejszych jest chyba problem wydajności pracy. Nikt tu nie ukrywa, że mniej więcej od dwóch lat znacznie obniżyła się produkcja i nie na razie nie zapowiada jej polepszenia. Slogany w rodzaju:

Republice vice prace to je nase agitace zdaja się świadczyć dowodnie, w czym rzecz i o co tu chodzi. Spacer nad Wltawą każe nam jednak zapomnieć (przynajmniej na chwilę) o trudnych problemach współczesności. Słynne praskie kasztany w pełni zielonego rozkwitu, rzeka płynąca powoli i majesta-

tycznie zniewalają do wzruszeń i liryki. Siadamy na ławeczce, pa trzymamy na upływającą wciąż wodę, myślimy o tym, co dzieje się tutaj, i o tym, co dzieje się u nas — w Polsce. A wieczorem idziemy do pobliskiego hotelu „Zlata husa” oglądać mecz piłki nożnej, transmitowany przez czechosłowacką telewizję z dalekiego Meksyku. Cóż za frajda dla takich jak my kibiców! Ze wszystkich oglądanych meczów najbar dziej podobało nam się spotkanie Anglii i Brazylii. Zmierzyli się dwie potęgi światowego futbolu. Ostatecznie zwyciężyli Brazylijczycy w stosunku 1:0. Ale co to była za gra, ile koronkowych kombinacji, jaka technika. Po prostu rozkosz patrzeć. Po powrocie do kraju obejrzałem sobie dwa mecze: Legia — Cracovia i LKS — Hutnik. Piątynas naszych zespołów mogła przyprawić o palpitację serca. To jest poziom z epoki kamienia łupanego. Szkoda, że nasza telewizja nie przekazywała rozgrywek z Meksyku. Byłaby to seria pokazowych lekcji, jak wygląda futbol na świecie i jak należy grać, żeby się leczyć. Jeśli w polskiej piłce nożnej nie zajdą jakieś radykalne i gruntowne zmiany, długo jeszcze będzie my się znajdować na dalekich ne ryferiach współczesnego futbolu.

2.

Stolica Słowacji, Bratysława, nie może konkurować z Pragą. Jest mniejsza i skromniejsza. Dunaj, opływający miasto, wzbierał po tętnie. Toczy wody mętne, w niczym nie przypominające owej modrości z walców Jana Straussa. Ale — parafrazując słowa piosenki o Warszawie — Bratysława da się lubić. Cicha i spokojna, sprzyja pracy i nauce, mieszkańcy, ży czliwi dla obcych, posiadli enotą gościnności w wysokim stopniu. Chodzimy po mieście, konferujemy z pisarzami, rozmawiamy z przypadkowo spotkanymi ludźmi. Spotkania przypadkowe są często najmiłsze. Jedno zwłaszcza wydało nam się wiele interesujące: z młodym dwudziestoletnim chłopcem, uczniem stolarskim i poetą zarazem. Chciał pójść na wyższą uczelnię, ale nie zdał, czy też zdał, lecz go nie przyjęto, nie załamał się jednak, wziął się do roboty, studiując na własną rękę i piśmie. Gdy dowiedział się, żeśmy z Polski, długo z nami rozmawiał i prosił o nasze książki. Wieczorem przyszedł do hotelu, aby je sobie odebrać. Cieszył się jak dziecko i w podzięcie za te dary zarecytował nam swój własny wiersz o Bratysławie i Dunaju. Wiersz elegijny, jakie piszą dwudziestoletni

poeci, ale mający w sobie coś nie kłamanie autentycznego: przywią zanie do ziemi, na której poeta wzrósł i która jest jego ojczyzną. Niby proste, a przecież w tej prostocie tkwią podstawowe siły wzruszeniowe każdej dobrej poezji.

W Bratysławie byliśmy zbyt krótko, aby wszędzie dotrzeć i wszystko zobaczyć. Nie udało nam się spotkać z Waclawem Urbańskim, obecnym korespondentem „Trybuny Ludu”, a jeszcze do nie dawna redaktorem „Głosu Robotniczego” w Łodzi. W dniu, w którym my przyjechalśmy do Bratysławy, on wyjeżdżał właśnie do Budapesztu na nową placówkę prasową. Ha, trudno, i tak bywa. Za to Ośrodki Informacji i Kultury Polskiej zarówno w Pradze jak i Bratysławie troszczyły się o nas i opiekowały się nami z godnym podziwu zaangażowaniem. Wiele z tego, cośmy zdołali poznać i zobaczyć, zawdzięczamy im przede wszystkim. I narazicie uwierzyliśmy w to, że ma my na placówkach zagranicznych ludzi rozumnych, znających się na rzeczy, którzy dobrze i skutecznie potrafią propagować kulturę i sztukę polską w świecie.

JAN KOPROWSKI

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

PISARKA FRANCUSKA — BOHATERKA MUSICALU

Od początków bieżącego miesiąca grany jest na Broadway'u musical pt. „Colette”, którego autorem jest Elinor Jones. Musical ukazuje postać słynnej francuskiej pisarki Sidonie-Gabrielle Colette (1873—1954). Według recenzenta tygodnika „Paris-Match” aktorka Zoe Caldwell przekonywająco odtworzyła postać pisarki zważając z lat kiedy Colette przekroczyła już pięćdziesiątkę. Natomiast w pewnym uproszczeniu kreuje ona postać pisarki sprzed wojny 1914 roku. W tamtych latach Colette odznaczała się wielką wrażliwością, byskotliwością, specyficznym poczuciem humoru, energią witalną, zmysłowością — czego nie ukazuje w należyty sposób na broadwayowski musical.



Colette w karykaturze amerykańskiego rysownika D. Levine'a

Sidonie-Gabrielle Colette urodziła się w małej burgundzkiej miejscowości. Od swej matki, której poświęciła potem książkę pt. „Sido” przejęła umiłowanie natury i trafność ob-

serwacji, trzeźwe spojrzenie na życie, wrażliwość na podriety otaczającego ją świata. Gdy miała lat dwadzieścia wyszła za mąż za paryskiego krytyka muzycznego H. Gauthier-Villarsa. Wychowana w naturalnych i surowych warunkach prowincjonalna poznała w Paryżu życie wielkoświatowe i stawia swe pierwsze kroki w dziedzinie literatury. Zaczyna od notatek i wspomnień. Ma opracowywać je w formie powieści i wydaje pod własnym pseudonimem „Willy”. Tak powstają cykl powieści o Klaudynie: „Klaudyna w szkole”, „Klaudyna w Paryżu”, „Malżeństwo Klaudyny”, „Klaudyna odchodzi”. Trwało to w latach 1900—1905, ale w rok później Colette rozstała się z mężem i oddała już sama pióra wiele ciekawych książek.

Ta młoda kobieta, o niewinnym spojrzeniu pensjonarki z prowincji, staje się gwiazdą podziemi teatrzyków, a jej rola polega głównie na rozbieraniu się. Pamiętamy, że w końcu XIX wieku moda nakazywała kobietom ubierać się, jak w pokroświec, w nieskończoną ilość przezroczystych stroików i bielizny. Jakimś więc wstrząsem dla publiczności było oglądanie rozbierającej się na scenie prawie do naga kobiety. Z początkiem XX wieku, gdy zmieniła się moda, aktorki strip-tease'u będą zrzucały już wszelkie odzienie. Colette wspaniale zbudowana, pełna wdzięku stała się jedną z najbardziej poszukiwanych przez teatryki aktorek. A równocześnie ta kobietka, popisuująca się na estradzie zdejmowaniem szatek sta-

ła się znakomitą pisarką. Jej powieści odraczają się wnikliwością, bystrością i subtelnością psychologiczną. Jej język jest żywy i obrazowy. „Więzy”, „Che-



Colette na scenie jako Apollo (1908).

ri”, „Śmierć najmilszego”, „Mitsou” — oto kilka spośród jej licznych powieści. W uznaniu dla jej zasług pisarskich Królewska Akademia Belgijka przyjęła ją w roku 1935 w poczet swoich członków, a w roku 1945 Colette została członkiem Akademii Goncourtów.

ZMAREL WYBITNY POETA WŁOSKI

W wieku lat 82 zmarł wybitny poeta włoski, przedstawiciel poezji hermetycznej Giuseppe Ungaretti. Urodził się w E. g. pie, studia odbywał w Paryżu gdzie pozostawał pod wpływami tak witalnych poetów jak Rimbaud, Mallarme, Valery. Początkowo zajmował się dziennikarstwem, pod koniec lat trzydziestych nie chcąc pozostawać w fa-

szystowskich Włozzech, wyjechał do Brazylii gdzie wykłada literaturę włoską na uniwersytecie. Pod koniec wojny wraca do Rzymu obejmując katedrę literatury. Wybitna indywidualność poety sprawiła, że wywarł on znaczny wpływ na młodą generację poetycką. Wydał kilka zbiorów poezji m. in. „Zasypany port”, „Poczucie czasu”, „Cierpienie”.

MŁODOCIANA PIANISTKA

Trzy lata temu, po raz pierwszy w historii konkursów gry na fortepianie odbywanych w Brukseli, Wielką Nagrodę zdobyła kobieta, Laureatką została szesnastoletnia pianistka radecka — Katia Nowicka. Belgijskie gazety pisały z zachwytem i podziwem o grze młodocianej pianistki twierdząc, że taki talent muzyczny pojawia się nie częściej niż raz na sto lat.

Katia Nowicka urodziła się w roku 1951 w Moskwie. Jej rodzice są z zawodu historykami. Matka gra na fortepianie, ale jako amatorka. Uczyła Katię gdy dziewczynka miała cztery lata. Już wtedy ujawniała niezwykły słuch muzyczny i niewątpliwie talent, toteż Katia mając sześć lat zaczęła uczęszczać do CMSz — Centralnej Szkoły Muzycznej dla wybitnie uzdolnionych dzieci jaką utworzono przy Moskiewskim Konserwatorium. Gdy Katia miała lat dwanaście zdarzyło się coś, co zdecydowało o jej dalszej karierze muzycznej. Oto jej grę usłyszał znakomity pianista Lew Oborin i choć nie wykladał on w CMSz postanowił zająć się dalszym kształceniem Katii. Pod jego kierunkiem dziewczynka kończyła CMSz.

Mając lat piętnaście Katia wstępuje do Konserwatorium. Uczy się i koncertuje, zdobywając uznanie znawców i miłośników muzyki zarówno mistrzów-

stwem, głębią wykonania jak i bogactwem repertuaru. Wybitni znawcy przepowiadają Katii wielką przyszłość muzyczną.

NADMUCHIWANY TEATR

Wielka pomarańczowobiała bania — to ostatni nabytek fundacji Maeght w Wenecji. Owa dziwna „budowla” to teatr na tysiąc miejsc wykonany całkowicie z mas plastycznych. Ten teatralny „budynek” powstaje przez nadmuchiwanie tak jak się nadmucha balon. Można być ustawiony na dowolnym miejscu i wykorzystany dla odgrywania sztuk teatralnych. Instalacja a następnie demontaż trwają po dziesięć minut. Nie trzeba tłumaczyć jak ten wynalazek może być cenny dla teatrów objazdowych. Wynalazcą owego teatru, nadmuchiwanego powietrzem, jest niemiecki architekt Hans Wal-

ter Mueller. Ostatnio wynalazca „buduje” w Normandii dom podobnego typu. Nadymany dom zawiera ma również basen kąpielowy pod gołym niebem.

ZMAREL

ADRIEN CONAN DOYLE

W wieku lat 59 zmarł w Genewie na atak serca Adrien Conan Doyle syn sir Arthura, autora słynnych powieści detektywistycznych. Jak już kiedyś pisaliśmy na tym miejscu, Adrien Conan Doyle w swym zamku w Szwajcarii przechowywał pamiętki po swym słynnym ojcu. Urządził też pracownię sławnego detektywa Sherlocka Holmesa, bohatera licznych powieści Conan Doyle'a. Zamek stanowił swego rodzaju muzeum i odwiedzały go licznie przez turystów i miłośników pisarza. Gościł wital Adrien przebrający za detektywa z fajką w ustach.

Spektakle tygodnia

TEATR WIELKI	Spektakl	Widzów	proc.
	„Królewna Śnieżka”	2	2520 100
	„Romeo i Julia”	1	820 65
	„Tosca”	1	780 60
	„Zemsta nietoperza”	1	1011 80
	„Faust”	1	1024 81
	„Orfeusz w piekieł”	1	1260 100
NOWY	„Zemsta”	2	800 60
	„Dzisiaj do ciebie przyjść nie mogę”	1	600 90
NOWY	MALA SALA		
	„Rodeo”	1	200 100
	„Pelikan”	2	300 73
	„Mąż i żona”	2	300 75
POWSZECHNY	„Wszystcy moi synowie”	3	1300 85
	„Ojcowie rodzą się w szafach”	2	1200 95
JARACZA	„Każdy kocha Opalę”	1	314 100
	„Tajemniczy ogród”	1	314 100
7.13	„Żołnierz królowej Madagaskaru”	3	1266 100
OPERETKA	„Miłość szejka”	6	4455 86

POLONICA

SMIERC
GEORGESA LIMBOUR

W katastrofie samochodowej zginął, na wakacjach spędzanych w Hiszpanii, wybitny powieściopisarz i krytyk francuski, 70-letni Georges Limbour. Pisarz ten, który nigdy nie chciał przyjąć tytułu narodowego literata, był także filozofem, poetą, dziennikarzem, sprawozdawcą z wystaw plastycznych, autorem libret operowych i sztuk teatralnych. Debiutował w 1930 roku, zbiorem opowiadań pt. „L'illustre cheval blanc”. Sławę mu zdołało przynieść pięć powieści, ogłoszonych w latach 1938—1963. Jean Cocteau uznał Limboura za swego duchowego mistrza. Bliższe do niego przyjaźnił Jean Dubuffet, Raymond Quenau, Armand Salacrou, koleży z gimnazjum w Havrze.

Limbour był także profesorem, między innymi w Polsce, którą często i z wielką znajomością rzeczy oraz gorącą sympatią wspominał. (wn)

„LE MONDE”

O TADEUSZU BREZIE

Warszawski korespondent paryskiego dziennika „Le Monde” Bernard Marguerite, napisał bardzo gorące i pełne sympatii wspomnienie o polskim piarszu, Tadeuszu Brezie. Ukazało się ono w numerze z dnia 22. IV. 1970 r. Marguerite nazywa Brezie jednym z najświetniejszych polskich piarszy współczesnych i przypomni na znakomite przekłady książek Brezy na język francuski, dokonane przez Paul Caziną oraz fakt, że zarówno „Urząd”, jak i „Słowa brama” zostały napisane pod wrażeniem pobytu Brezy w Rzymie w latach 1955—1958, gdy Tadeusz Breza pełnił funkcje radcy kulturalnego polskiej ambasady. Zda niem autora artykułu po traktował Breza mechanikę urzędów watykańskich z surowością, ale i nie bez zrozumienia jej mechanizmów psychologicznych. Utrzymywał zresztą najlepsze stosunki z piarszami katolickimi, jak Jerzy Zawieyski, a dobrze znał dzieła francuskich person listów jak Mounier, czy neotomistów (Jacques Maritain). W latach sześćdziesiątych był Breza radcą kulturalnym ambasady polskiej w Paryżu. (wn)

O POLSCE W CZESKICH ZASPIKACH

Ostatnio, czasopisma wydawane w Czechosłowacji sporo miejsca poświęcają sprawom polskim. I tak np. w miesięczniku „Revue svetovej literatury” (nr 2 z lutego br.) znajdziemy fragmenty z „Dzienników” Witolda Gombrowicza oraz artykuł Andrzeja Mencwela pt. „Kryzys w polskiej literaturze”. W dwutygodniku „Film a divadlo” (nr 9) znajdują się aż dwa materiały: jeden poświęcony sprawom polskiego filmu, drugi — warszawskim premierom teatralnym, obydwie opatrzone licznymi zdjęciami. I wreszcie w miesięczniku „Romboid” (nr 1) możemy przeczytać szkice poety, prozalka i esejisty poznańskiego, Edwarda Balcerzana pt. „Krytycy i krytykownicy”. W tym samym numerze w dziale sprawozdawczym znajduje się omówienie naszego miesięcznika „Twórczość”. (jk)

POLONICA

str. 11



Obok
literatury

JAK POWSTAJĄ SENNIKI? — KSIĄŻKI UMARŁE — HOROSKOP PREZYDENTA — TAPIR I DMUCHAWKA BENZYNOWA — PRZEPOWIEDNIA Z KOMPUTERA — KARTA FILOZOFICZNA NIEBA I NATURY

Niedawno po raz drugi przeczytałem „Sennik współczesny” Tadeusza Konwickiego. Jest to bowiem książka, która trzeba mieć na własność, bo jest to książka, do której będzie się wracać. Mało jest takich książek. Ale tym razem zamyśliłem się nad samym tytułem. Oczywiście przylega on zna komicie do toku narracji powieści, oddaje klimat i atmosferę sennych wizer bohaterów. Lecz tytuł nasuwał mi inne skojarzenia i refleksje. Konwicki nadał swej książce tytuł „Sennik współczesny” — jest to książka żywa, nasyciona trudnymi, bolesnymi i pięknymi sprawami naszej współczesności. Ale same senniki — te prawdziwe, te od których Konwicki wzięł tytuł?

To już przecież książki umarłe. Nawet podwójnie umarłe, bo po pierwsze nikt w nie nie wierzy i po drugie po prostu ich nie ma. Nie drukuje się w takich drukarniach Białego stoku czy Łomży senników egipskich, babilońskich czy chaldejskich — sprzedawanych potem po jarmarkach i odpustach. Nie ten czas. Dziś zaintereso-

wa się nimi co najwyżej bibliofil, kolekcjoner dziełności księgarskich.

A przecież kiedyś — e-bok literatury — płynął to białe szeroki nurt wszelkiego rodzaju senników, przez powieści, horoskopów. Dziś jeśli przypadkiem odnajdziemy je w starych papierach — czasem śmiejąc się, czasem zdumiewając. Myślę, że strzępy tych ulotnych druków mogą być dla czytelnika anno 1970 lekturą ciekawą, myślę, że przypomnienie tego nurtu, który płynął obok literatury, będzie na tyle zabawne, co pouczające. Bo czytając te uroczyste — przeproszam — brednie, możemy sobie dokładnie uświadomić, że minęła cała epoka od tamtych dwudziestych lat naszego wieku.

Jak powstawały senniki? W literaturze został na ten temat ślad, zostało ciekawe wyznanie niezjącego już warszawskiego dziennikarza i piarsza Władysława Zambryckiego: „Pisząc sennik, nie rezygnuję tylko na małym re-mingtonie, z lewej strony kładłem szkolnego Larousse'a, a z prawej chłopską encyklopedię Armanda Co-

lin. I przerzucałem kartki byle jak, na chybił trafił. Dajmy na to otwieram Larousse'a i znajduję podobne kłosał jakieś trawy. Łączę to wszystko razem i otrzymuję w wyniku taką przynajmniej: węgierka we śnie widzieć, jak się z rak wyślizguje, tudzież śliza, młotusa i inną obłą rybę — sianośosów pilnuj, nie leń się w czas uprzątnij, bo krowa mleko straci. Jeżeli z lewej strony znajdzie tapira, a z prawej dmuchawkę benzynową do lutowania to napiszę: wielgachnego potwora w lesie widzieć, także smoka ogniem zięjącego — sprawdź piec, szpary glna poobtykaj, nie rozpalaj drzewce do czerwoności, lizbyś z rodziną na śmierć nie zaczadzał”.

Któż by dziś w takie baniaduki wierzył? Spróbowałem jednak tej metody. Z lewej polozyłem dzisiaj ty tom encyklopedii PWN — z prawej pierwszy tom encyklopedii kultury świata antycznego... Niestety nie z tego nie wyszło...

Lepiej więc może zacytować jeszcze parę sennikowych autentyków sprzed ponad pół wieku! A więc: „Gajowego z fuzją jak po krzakach się czai widzieć — Nie balamuc cudzej pod dwiki, ma kłosisk chętkę gnąć ci polamać. „Cysarz Franciszka jak się w Dunaju kąpie widzieć — Sianośosy latoś będą bogate, byleś się z kłosisk nie ocłagał, durru jeden. Z sitowia nici na kolowrot ku kręcić — Bez ochyby strata cię spotka, w trzy karty na jarmarku talara srybrem przegrasz...”

Dziś chyba nikt by na takie przestrogi nie zważał — nawet jeśli sformułowane byłyby współczesnym, naukowym językiem i nafszerowane współczesnymi rekwiwitami. Po prostu bardziej wierzymy dokonanym faktom niż słowom. Bo coż słowa? Można je kształtować tak bardzo różnie.

Podobnie rzecz się ma z horoskopami, które w nurcie płynącym kiedyś obok literatury też mają swoje miejsce. Chociaż... Mam przed sobą książeczkę „Polski Kalendarz Astrologiczny” wydany w 1931 roku w Bydgoszczy. Czytam: „Włoska polityka już od czasów papieżstwa jest zawsze zębna dla Polski, gdyż pcha Niemców ku Wschodowi. Biała Polska, gdy Pacelli zostanie papieżem i kierownikiem Ligi Narodów. Ale biała wtenczas i Niemcom i całej Europie”.

No i... sprawdziło się! Mniej szczęścia w przewidywaniu przyszłości miał słynny warszawski astrolog Jan Starża-Dzierzbicki. Opublikował on w roku 1932 w „Kurierze Literacko-Naukowym” horoskop prezydenta Mościckiego. Czytam: „Na ogół horoskop P. Prezydenta przedstawia się bardzo dodatnio i nie wskazuje na żadne gwałtowne przewroty ani grożące katastrofy. Z punktu widzenia międzynarodowego horoskop wskazuje na harmonię z sąsiadami”.

Ładną „harmonię” mieliśmy parę lat później. Sam Starża-Dzierzbicki padł ofiarą „sąsiadów” w

czarnych mundurach. Choć z horoskopem Pana Prezydenta nie bardzo się jednak pomylił. Pan Prezydent wyjechał do Szwajcarii, gdzie spokojnie przeżył całą wojnę bez „gwałtownych przewrotów” i katastrof.

Z owego nurtu płynącego obok literatury najbardziej żywe są dziś horoskopy. Oczywiście podpierają się one autorytetami psychologów. Współczesnego człowieka na metafizykę nikt nie rabierze — na powagę nauki na brać jednak można. Więc — głównie na Zachodzie — horoskopy opracowuje się przy pomocy komputerów i docentów psychologii, pisane są one językiem rozpraw naukowych, ale... Taka sama bajda jak ten dziewiętnastowieczny druczek wyciągany przez papugę z pudła katarynki. Dzięki zapomnianemu dziś piarszowi, Władysławowi Sabowskiemu, piarszemu pod pseudonimem Wołody Skiba mamy „Kartę filozoficzną nieba i natury”: „Chłopiec urodzony w znaku Barana jest charakteru bardzo łagodnego, urody pięknej, do koni szczęścia nie ma, u kobiet względu dozna zdrowie straciwszy”. Dalej pisze: „Żyć będzie do lat osiemdziesięciu, chyba gdyby wprzód umarł od ospy. W rzemioście nie tegi, do roli nie przydatny...”

Dziękuję uprzejmie. Urodziłem się pod znakiem Barana. Skorom więc w rzemioście nietęgi i do roli nieprzydatny — zostałem dziennikarzem.

JERZY WIDOK

PUŁAPKA

Dokończenia

Detektyw ukląkł obok trupa i przetrząsnął mu kieszenie, lecz nie znalazł niczego, co mogłoby pomóc w zidentyfikowaniu zwłok. A więc drugi anonimowy trup!

Shayne kontynuował poszukiwania. Zauważył w podłodze przy ścianie ukryte drzewce. Otworzył je szczytykiem. W małym schowku na dnie leżała koperta. Mike zajrzał do środka i znalazł osiem fotografii. Zainteresowała go szczególnie jedna. Pobiegł do telefonu i przywołał inspektora Baina.

Po godzinie policja usunęła trupa. Inspektor siedział w poczekalni szpitala smutny i zdenerwowany. — Nie mogę się z tym pogodzić! — narzekał. — Jim Connell, jeden z najlepszych moich ludzi. Powierzylem mu śledzenie Mendaresa i oto znajduje Jima przebitego sztyłem w gabinecie doktora Pinto!

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, kim jest Mendares?

Mendares przyjechał do Anglii kilka lat temu i zorganizował gang typu amerykańskiego. Rabunki, szantaże, napały na banki. Prawdopodobnie zorientował się, że jesteśmy na jego tropie, przestraszył się i zamordował najpierw doktora, a później Connella.

— Przypuszczam, że Mendares zwrócił się do doktora Pinto, aby zmienił mu rysy twarzy, wykorzystując osiągnięcia chirurgii plastycznej — wtrącił Shayne.

— Tak — lecz nie rozumiem wątpliwym. Przecież go nie znamy i nie posiadamy odcisków jego palców. Czy panski informator nie podał innych jeszcze śladów?

— Nie. Czy pan zna mojego informatora?

— Sądząc z opisu jest to marynarz Brown, typ, który sprząda wszystko wraz z informacjami. Nie przypuszczałem jednak, że odważy się mówić o Mendaresie.

— Może wiedział, że gangster zostanie niedługo schwytany. Bain wstał, chodząc zdenerwowany po lokalu. Nagle zatrzymał się przed detektywem i za pytał: — Co pan jeszcze zna-

lazł w laboratorium doktora Pinto?

Shayne wyjął z kieszeni fotografie i podał je inspektorowi — To znalazłem.

Bain spojrział na zdjęcie:

— Ależ ja znam tych ludzi!

— zawołał. — A przynajmniej trzech z nich! Jeden jest znany pod nazwiskiem „majora” Johnsona, zamordował żonę.

Drugi — Gunner Malone — jest poszukiwany za podwójne morderstwo w czasie kradzieży biżuterii. Trzeci Pedro Nensso — Hiszpan, jest płatnym zawodowym mordercą...

— Chyba zauważył pan, że fotografie jest osiem, lecz odnośzą się do czterech osób. Każda została sfotografowana dwa razy, przed i po operacji plastycznej.

— Prawdą! — krzyknął Bain.

— To znaczy, że zmienili sobie rysy. Mają jednakowe ubrania na obu fotografiach.

— Myślę — stwierdził detektyw — że Pinto schował fotografie w skrytce urządzonej w podłodze, aby szantażować zło czynców. Przypłacił to życiem.

Inspektor obserwował dokładnie ostatnie dwie fotografie. — Kto to może być? Nigdy go nie widziałem.

— Niech pan się nie męczy odgadawaniem, na odwrócić fotografie są nazwiska.

— Mendares! Nareszcie wiemy, jak wyglądał! Ale na którym zdjęciu jest jego prawdziwe oblicze?

Shayne wybrał jedną z kartek i podał ją inspektorowi.

— To jest prawdziwy Mendares, przed zabiciem...

Bain spojrział na fotografię i zobaczył twarz człowieka okrutnego, o ciemnej cerze, czarnej oczach i cienkich wąsach.

— Skąd pan wie, że to on?

— Ponieważ znam go pod jego prawdziwym nazwiskiem: Johnny Osceola. Różowe piórko flaminga jest znakiem pewnej sekty na Florydzie. Noszą je pod wstążką kapelusza jako amulet. Osceola był jednym z najważniejszych członków sekty, lecz został z niej usunięty, gdy dowiedziano się, kim jest istotnie. Kierował bandą opryszków i w czasie napadu

na bank zabił czterech urzędników. To było trzy lata temu. Ja przyczyniłem się do jego schwytania, został skazany na krzesło elektryczne. Zdążył uciec i odtąd zniknął.

— Rozumiem. Przyjechał do Anglii i nas obdarzył swoją osobą. Shayne, jestem panu niezmiernie wdzięczny! Znam teraz nową twarz Mendaresa i mogę pomóc Connella.

— Inspektorze, — przerwał Mike — proszę nie zapominać o bilecie napisanym przez doktora Pinto. Mówił tam o „określe, które odpływa”. Może wie dział, że Mendares-Osceola opuszcza Anglię. Trzeba ustalić nazwę statku. Muszę odszukać marynarza Browna, to będzie najkrótsza droga.

Bar Wellington Head był prawie pusty. Mike zbliżył się do człowieka stojącego za ladą, wsunął mu pięć dolarów do ręki i rzekł spokojnie: — Proszę odszukać Browna i powie dzieć mu, że może zarobić pięćdziesiąt szterlingów.

Kelner skinął głową. Mike zajął miejsce przy stoliku i za parę minut przyszedł Brown i usiadł naprzeciw detektywa.

— Potrzebna mi informacja jakim statkiem odjeżdża Mendares — rzekł twardo Shayne.

— Człowiek zbladł. — Boję się...

— Czego? Mendares już tu nie wróci.

— To przekonało marynarza. — Odjeżdża statkiem „Queen Astrid”. Lecz proszę uważać, nie jest sam. Muszę już odejść, ryzykuję zbyt wiele.

Mike wręczył mu pieniądze. Na ulicy wszedł do kabiny telefonicznej i umówił się z inspektorem na molo, przy którym stał okręt „Queen Astrid”. Potem udał się na poszukiwanie taksówki. Nie uszedł daleko. Oślepiła go nagle latarka elektryczna, ktoś uderzył go pięścią w twarz. Potem za błysko ostrze noża i Mike otrzymał cios w plecy. Napastnik uciekł. Detektyw posuwał się wzdłuż murów szukając pomocy. Już tracił nadzieję, gdy nagle zobaczył mosiężną tabliczkę z nazwiskiem lekarza. Zapukał i o mało nie wpadł w ramiona człowieka, który mu otworzył drzwi.

— Co się stało?

— Zostałem napađnięty, proszę o pomoc.

Lekarz zmierzył go podejrzliwym wzrokiem. — Ma pan ból w plecach, muszę zawiadomić policję.

— Niech pan zatelefonuje do Scotland Yardu i powie inspektorowi Bain, że jego amerykański przyjaciel jest ranny.

— Dobrze, ale najpierw trzeba się zająć raną. Proszę wejść do gabinetu.

— Miał pan szczęście, wszystko w porządku. A teraz zatelefonuj do pańskiego przyjaciela. — Mówiąc to lekarz wyszedł do przyległego pokoju.

Mike przypomniał sobie, że Bain jest już w porcie, a w policji nikt go nie znał. Cicho wstał, prześliznął się na korytarz i otworzył drzwi wejściowe. Usłyszał jeszcze słowa lekarza: — Nie znacie żadnego Amerykanina? Rozumiem. Postaram się go zatrzymać, nim przyjdziecie.

Ale Shayne był już daleko. Mgła teraz okazała się użyteczna. Zatrzymał taksówkę i kazał się zawieźć do portu. Siedząc rozmyślał nad tym, co zaszło. Ten, kto go napadł, musiał iść za nim i na pewno wie dział o ponownym spotkaniu z Brownem. Chciał widocznie przeszkodzić, aby Mike udał się do portu i pomógł w złapaniu przestępcy.

Na molo czekał już Bain w towarzystwie kilku policjantów, którzy rozmawiali z grupą czterech marynarzy. W jednym z nich Shayne rozpoznał Osceolę z jego nową twarzą.

— Shayne! — zawołał inspektor. — Co się stało?

— Cios nożem — wyjaśnił krótko detektyw.

— Do diabła! Pięć minut temu otrzymałem wiadomość, że Brown został zasztytowany.

Miał jeszcze przy sobie te dolary, które otrzymał od pana.

— Szkoła mi go — rzekł Mike. Potem zwrócił się do gangstera: — Halo, Osceola! I znów się spotykamy? Ale tym razem to już twój koniec. Wyobrażam sobie jak się ucieczy Will Gentry, komendant policji w Miami, gdy cię zobaczy.

Osceola nie odezwał się. Lecz oficer stojący w grupie marynarzy obruszył się. — Czulem, że w tym człowieku jest coś dziwnego. Podawał się za marynarza, ale ja mu nie wierzyłem.

— Porucznik Jones — wyjaśnił Bain Mike'owi — okazał się bardzo życzliwym dla nas.

— Spełniłem tylko swój obowiązek. Nie chcę mieć podejrzanych osób na pokładzie.

— Chciałbym także podziękować kapitanowi — rzekł Bain. — Mam nadzieję, że go zobaczę, nim odpłygnie.

— Kapitan przeprasza, ma atak wątroby i położył się. Ja mu wszystko powtórzę. — Na gło Jones przerwał i krzyknął: — Uważajcie!

Ledwie zdążyli odskoczyć na bok, gdy ołbrzymia skrzynia odcepiła się od dźwigów i spadła z wysokości dwudziestu metrów na ziemię. Prawie jednocześnie Shayne krzyknął: — Uwaga, ucieka!

Korzystając z zamieszania Osceola biegnął w kierunku statku. Dwa policjanci rzucili się za nim. Jones wrzasnął na marynarzy: — Zatrzymajcie go!

Osceola widząc zablokowaną drogę, cofnął się do mostu. Na gło zatrzymał się, gdyż jego stopy dotknęły krawędzi otworu ładowni. W tym momencie Jones rzucił się na uciekinie-

ra i uderzył go głową w żołądek. Osceola wpadając w przepaść krzyknął przeraźliwie. Po kilku minutach policjanci wynieśli trupa.

Porucznik Jones ocierał pot z czoła. — Myślałem, że wymuje pistolet — rzekł niepewnie — chciałem mu przeszkodzić. Ledwo go dotknąłem, upadł do tyłu. Próbowałem go podtrzymać, ale...

— Nie! — zaprotestował Shayne — nie podtrzymałeś go, lecz popchnąłeś celowo! To ty popełniłeś wszystkie morderstwa! Dźwiłem się bardzo, że usiłowałeś mnie zabić dopiero wtedy, gdy Brown mi powiedział gdzie mogę cię znaleźć, a ja zawiadomiłem o tym inspektora. Fotografie w skrytce były mistyfikacją, która miała nas sprowadzić na łatfszywe tory. W tym spisku najważniejszym punktem było pozbycie się fałszywego Osceola w taki sposób, abyśmy nie mogli sprawdzić odcisków jego palców.

— Czy mogę wiedzieć o czym mówicie? — ryknął Jones. — Chciałbym wam zwrócić uwagę, że statek już odpływa, a mój czas jest drogi!

Shayne uśmiechnął się. — Ten chwyt nie przejdzie, mister Osceola! Ile planów przestudiowałeś, aby pozbyć się trupa fałszywego Osceola? Moje przybycie poplątało ci szlaki. Bo ja znam nie tylko twoją twarz, ale i twój głos! Natychmiast zauważyłem, że domniemany Osceola nie otwierał ust, podczas gdy ty wrzeszczałeś i zmieniałeś głos.

— Stuchajcie! — zawołał Jones agresywnie — Ja...

— To ty musisz słuchać, Osceola! To był błąd w twoim planie, że czyhałeś na moje życie szczególnie po telefonie do inspektora. Zrozumiałem wówczas, iż chcesz żeby policja aresztowała człowieka, którego poszukiwała, ale jedne cześnie nie chciałeś, żebym znalazł się w porcie przy ostatnim jego rozpoznawaniu.

Jones przyglądał się Mike'owi przez długą chwilę a potem rzekł z wściekłością: — Już raz pomógł pan zaaresztować mnie. Zabiję cię, Shayne!

— Za późno, Osceola! Teraz już ci się nie uda.

Bain dał znak policjantom. — Zabierzcie go, ale uważajcie! Ten człowiek zabija ludzi jak muchy.

Nieco później inspektor i Shayne siedzieli w gabinecie komendanta Rogersa. — Chciałbym — rzekł uprzejmie komendant — aby pan nam wszystko opowiedział.

— Dobrze, streszczę całą sprawę. Pułapka był tak ukartowana, że od początku wykonywałem to, czego sobie życzyl Osceola. Różowe piórko i bilecik zostały podłożone pod ciało doktora Pinto przez samego Osceolę, który chciał, żebym przyjechał do Londynu. Fotografie schowano w gabinecie lekarza w taki sposób, żebym je łatwo znalazł i nabrał przekonania, iż dwie z nich przedstawiały Mendaresa-Osceolę przed i po operacji plastycznej. Na pierwszej był istotnie Osceola, ale na drugiej był jeden z członków bandy, na którego Osceola chciał zwrócić naszą uwagę. Gangster zmienił sobie rysy twarzy w inny sposób i nawet ja nie mógłbym go zidentyfikować, gdybym nie znał jego głosu. Bandyta ułożył tak sprawę, aby fałszywy Mendares został aresztowany przez policję dzięki moim wskazówkom, ale ja nie mogłem być obecny przy aresztowaniu, bo mógłbym rozpoznać głos, sposób poruszania się itd. Fałszywy Osceola miał umrzeć przypadkowo, na oczach policjantów i sprawa zostałaby zamknięta. Sądząc, że Osceola był w zmoiwie z kapitanem okrętu.

— Jaką rolę odegrał marynarz Brown? — zapytał Rogers.

— Myślę, że Brown pracował na konto Osceola. Czy to nie dziwne, że zawsze znajdował się w pobliżu, że tak chętnie służył mi informacjami, które były policji potrzebne, a które podsuwał mu Osceola?

— Rzeczywiście, plan świetnie funkcjonował — rzekł Bain. — Gdyby Mendares pana zabił, nie dowiedzieliśmy się niczego. Jesteśmy szczęśliwi, że tak się nie stało.

Oprac. A.S.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI 1-MAJOWEJ

W wyniku losowania nagrody za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki 1-Majowej, ogłoszonej w numerze 18 „Odgłosów” z dnia 3. V. 1970, otrzymali:

MIROSLAWA SZPERNA, Bychlew k/Pabianic, szkoła podstawowa — zegarek damski z bransoletą

IRENA PRUSZKOWSKA, Łódź, Obywatelska 10 — młynek do kawy

TADEUSZ SIENICKI, Warszawa, Grzybowska 6/10 — teczkę skórzaną.

Nagrody są do odebrania w sekretariacie redakcji codziennie w godzinach od 10 do 14.



Lewym okiem

CARUSO ZA SZEŚĆ TYSIĘCY LAT

W dniu 22 września 1938 roku inżynierowie z amerykańskiej firmy „Westinghouse Electric Co” zakopali na terenach wystawowych w Nowym Jorku pojemnik o kształcie dwumetrowej rury, nazwany przez nich „kapsułką czasu”. Do pojemnika, zabezpieczonego według najlepszych ówczesnych reguł sztuki przed korozją i wszelkimi wpływami zewnętrznymi, włożono wszytko to, co świadczyć miało o epoce; miał to być ekstrakt, sama esencja pierwszej połowy dwudziestego wieku, jej bilet wizytowy dla ludzi, którzy w te okolice zabłądzą... za sześć tysięcy lat!

To nie żaden fragment fantastycznej powieści. Inżynierowie przeprowadzili multum naraż. z wybitnymi fachowcami różnych dziedzin, troskliwie kompletowali swą kapsułkę, chcieli żeby była prawdziwa, wszechstronna, żeby nas dobrze zaprezentowała uczonej archeologom za sześćdziesiąt wieków Bruno Winawer, nieustrudzony entuzjasta postępu rozumianego w

Kategoriach technicznych i tylko takich, pisał w „Wiadomościach Literackich”: „Księgi i wyrażne znaki wskażą odległym badaczom, gdzie, pod jaką szerokością i długością geograficzną mają szukać zakopanego skarbu; pewne środki ostrożności obmyślono na wypadek, gdyby języki dzisiejsze miały zginąć i słowa utracić sens, gdyby były niezrozumiałe dla praprawunuków, jak pismo klinowe dla nas”.

Podobno — powtarzam z Winawerem — zamknięto w „kapsułce czasu” małe model samolotu (już dziś by nas śmieszył, mój Boże...), okrętu transatlantyckiego, telefonu, kilka najważniejszych formuł naukowych, płytę ze śpiewem Carusa, zdjęcia filmowe z przemysłu, mo dy, sportu, mikrofilmy książek, gazet, zawodów i mityngów politycznych, artykuły Millikana, Einsteina, Tomasza Manna. Nie odważono się na pewno — to już mój domysł — na dołączenie próbki iperytu, najstraszniejszego ze znanych wtedy środków masowej zagłady, ani przemówienia pewnego kanclerza z wąsikami, ani mikrofilmu z Dachau, pracującego już na pełnych obrotach. To był także nasz czas, prawda o naszym świecie. Ale nie o to chodzi.

Nie wiemy, czy miejsce, gdzie zakopano dziwną bombę, nie jest już od dawna przeczona fundamentami rosnącego miasta, autostrada mi, sztolniami podziemnych kolei. Nie wiemy, jakie to znaki na niebie i ziemi miały naprowadzić przyszłych ludzi na odpowiednią szerokość i długość geograficzną, a sama wiara, że pojęcia szerokości i długości będą za sześć tysięcy lat coś znaczyć, wydaje nam się wzruszająco naiwna.

Zresztą cała ta historia to przecież wypis w małej dziewiętnastym wieki! Zachwył nad paroma wynalazkami, ogromne zadowolenie z siebie, przekonanie, że już-juz dochodzi się do ostatnich odkrywczej myśli odkrywczej, że odtąd będzie już tylko kosmetyka szczegółów, cyzelo wanie drobniarstwo. Ze potomni niewiele będą mieli do dodania, i — co najważniejsze — że będą się interesować czymś tam z niewyobrażalnie dawnej epoki! Ze — wreszcie — zainteresuje ich akurat metalowa rura nadziana śmieciem, a nie — na przykład — kawałek potylicy ludzkiej, przebity okrągłą, trudną do wytłumaczenia dziurką...

Dziś wiemy już z całą pewnością, że jeżeli za sześćset — po co od razu sześć tysięcy? — lat będą po ziemi stapać ludzie czy coś do ludzi podobnego, to my, dzisiejsi, nie będziemy dla nich niczym. Oto, co zostało z pychy ludzkiej 1938 roku. Na własne oczy oglądamy przecież, jak lawinowo następują zmiany na świecie, właśnie lawinowo: coraz szybciej, gwałtowniej, nie do opanowania. Rok 1970 bardziej się różni od 1930, niż 1930 od 930. Tu jest czterdzieści lat, tam było tysiąc. Cóż tu się ludzi, nasza przyszłość, czy ściślej: pamięć po nas — będzie tyleż samo razy krótsza. Nie ma czasu na pamięć. „Języki dzisiejsze zginą i słowa utracą sens”. Słowa szybko tracą sens, niekiedy za życia jednego pokolenia. Nikt nie odczyta kapsułki czasu za sześć tysięcy lat. Smutno?

E, tam. Zebymy tylko większych zmartwień nie mieli!

CWIEK